POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 15-go listopada 1941r.*** **Rok III. Nr. 46**

W ROK PO "BATTLE OF BRITAIN"

Było to po wrześniu. Garstka polskich pilotów, stojąc na górnym pokładzie małego greckiego statku, patrzyła z ciekawością na skały przesuwającej się w mgłach porannych wyspy Pantellarii. Właśnie olbrzymia tarcza słoneczna wypłynęła ponad horyzont. Jednak nie nabrała pełnego blasku, lecz przyświecała ponuro, oblana ciemną czerwienią. Toteż skały wyspy, wychylające się z poza zasłon mgły, były—wydawało się—zbudowane z krwi zeschłej i martwego mięsa. Od nich morze zaciekało krwawo, przechodząc miejscami w brudną purpurę. Nawet wyszumy krótkiej, rwanej fali, przypominały różową pianę na ustach człowieka, któremu kula przewierciła płuca.

Widok był niesamowity, więcej — przerażający jednostajnością posępnej barwy. Oto świat mórz i wysp skąpany w oparach krwi. Mimo woli przychodziły na myśl inne, jakże niedawno oglądane czerwienie. Czyż ta, w samym sercu *Mediterraneum*, nie była siostrą rdzawych poranków i nocnych pożarów zadymionego księżyca w czasie Wielkiej Posuchy 1939, zaklętej ówczas nad całą Polską?

W czasie oczekiwań na statek, gdy między jednym wyśpiewem muezzina a drugim, siedziało się na cyplu skały niedaleko małego miasteczka w południowej Dobrudży, gdy wzrok wędrował po niegościnnych odmętach Czarnego Morza—miało się dużo czasu do dyskusji. Toteż dyskutowano zawzięcie, lecz temat był zawsze ten sam, wojna, klęska, jej przyczyny. Jeden z domorosłych magów (tych nigdy i nigdzie na brakuje), tłumaczył niesamowitą sprawę owej iście piekielnej pogody, która wyssała rzeki i strumienie, zmeliorowała wszelkie zapory bagienne, rozwiesiła zasłony dymowe wapiennego kurzu po drogach i polach, otwierając czołgom wszystkie ścieżki do serca Polski. Mówił, że według starej, indyjskiej ponoć legendy, przed każdą wojną opada na glob ziemski coś, jakby mgła czerwona. Ona to właśnie, oddech złych planet, podsyca w sercach ludzkich zwierzęce pragnienia mordu i pożogi. Ukazuje się na słońcu, na księżycu, na gwiazdach. Czasem towarzyszą jej inne dziwaczne zjawiska: płomienne krzyże, jaskrawe komety, zaburzenia meteorologiczne, burze i trzęsienia ziemi.

Można było wierzyć lub nie wierzyć, lecz w każdym razie było to tłumaczenie tego, jakby nadprzyrodzonego zjawiska pamiętnego lata przedwojennego. Było może szukanie nadprzyrodzonych przyczyn dla tłumaczenia wielu innych zjawisk, wielu nasuwających się wątpliwości, wielu dziwnych faktów.

Klęska i tragiczny koniec, lecz z nim budząca się nadzieja nowych zmagań, tym razem zwycięskich. Więc ucieczka z pod straży obcych żandarmów, by dotrzeć na zachód do nowo tworzącej się armii. Tymczasem już tutaj, na tej nowej wolności żołnierskiej, znów krew, czerwień, rdza przeklęta? Czyżby znów zły omen i złowieszcze proroctwo?

Jednak na twarzach patrzących nie było ani przerażenia ani trwogi. Pojawił się natomiast wyraz inny, bardzo trudny do określenia, gdyż niespotykany codziennie. Zmęczone, zaczerwienione od niedospanych nocy, mocno błyszczące od gorączki oczy spoglądały na groźne zjawisko raczej jakby obojętnie. Mógłby to ktoś tłumaczyć obojętnością straceńców, albo smętną rezygnacją ciał, czy dusz sparaliżowanych nadludzką tragedią. Był to jednak tylko spokój. Spokój świadomych ostatecznego rozwiązania.

Czytając teksty *Missale Romanum*, znajdujemy po *Agnus Dei* jedną z najbardziej tajemniczych, lecz i najbardziej doniosłych modlitw tej księgi, rozpoczynającą się od słów: "Któryś rzekł apostołom Swoim—pokój Swój daję wam, pokój Swój zostawiam wam. . ." Jest to mowa o pokoju "jakiego nie daje świat." Jest to mowa o pokoju, który trwał w sercach wierzących, wśród trzasku i szumu płomieni palącego się Rzymu, wśród mordów i prześladowań na arenach cyrkowych, a później, na przestrzeni wieków, wśród zawieruchy wędrówek narodów, przy gromach zapadających się królestw, przy ciągłym tętencie kopyt trzech jeźdźców Apokalipsy.

W rok później ciż sami piloci, których widzieliśmy na Morzu Śródziemnym, wspólnie ze swymi brytyjskimi kolegami wygrali pierwszą bitwę o świat przyszłego lepszego porządku.

Znane są dziś każdemu prawie statystyki sił mierzących się wówczas na ziemi, morzu i powietrzu. Nie zaszkodzi jednak ich sobie przypomnieć. Gdy oddziały wojska polskiego w postanowieniu walki aż do końca, przybyły na Wyspy Brytyjskie—sytuacja militarna tych wysp była, zdawało by się, beznadziejna. Toteż niejeden z materialistów odzywał się z krakaniem: *nec Hercules*! . . . Rzeczywiście brytyjska armia lądowa była właściwie rozbrojona. Straciła prawie wszystkie czołgi, działa, samochody. Wszystkie prawie karabiny maszynowe i broń przeciwpancerną. Ba! W tym czasie nawet zwykłych karabinów brakowało.

Lotnictwo, które poprzednio musiało wziąć na siebie cały ciężar walki na kontynencie, gdyż francuskie działało bardzo słabo, było teraz prawie żadne w porównaniu z lotnictwem wroga. Trochę dywizjonów myśliwskich, a bombowców tyle co nic. Pozostawała marynarka. Ona jednak choć silna liczebnie, osłabiona została także odstąpieniem Francji od walki. Została od razu obarczona nad miarę koniecznością kontroli wielu mórz i wielu oceanów.

Społeczeństwo w zasadzie nie było dozbrojone duchowo. Na skutek nagłego kataklizmu sąsiada znalazło się w pierwszej linii bojowej z dnia na dzień, jeszcze wczoraj siedzące na niedosiężnych nawet dla lotnictwa tyłach. Było półprzytomne, nie rozumiejące rozmiarów klęski i zbyt zaskoczone, by rozumieć.

Tymczasem wróg był gotów. Sto mil od stolicy Imperium Brytyjskiego gotowe do ataku stanęły jego żelazne kadry. Drogę na wyspę dla czołgów i piechoty przez skrawek wody, nie szerszy od trzydziestu mil miało otworzyć karne i liczne lotnictwo. Ruszyły więc sznury maszyn, całymi milami porozrzucane na niebie.

Przeciwko tej szarańczy rzuciły się pojedyńcze klucze brytyjskie i polskie. Rozpoczęły się masowe walki, owe kotłowacizny powietrzne, o których wspomina w swych pamiętnikach Richthoffen, mówiąc, że "wielu w nich bierze udział, lecz mało kto z życiem wychodzi". Wbrew wszelkiemu rozsądkowi, wbrew zdaniu Bismarcka, że Bóg jest po stronie liczniejszych batalionów, mimo, że stosunek obrony do ataku przekraczał często jeden do dziesięciu — zwyciężyła garstka kilkuset przeciwko dziesiątkom tysięcy.

Jak to się stało? Przypisuje się zwycięstwo wyższości sprzętu i wyszkolenia brytyjskiego, mówi się o lepszych kwalifikacjach brytyjskich pilotów, wreszcie o ich lepszej taktyce. Takie wyjaśnienie wcale nie jest wystarczające. W badaniu tego zdumiewającego zwycięstwa sięgnąć trzeba znacznie głębiej, poza materialne przyczyny. Leżą one w istocie ducha człowieka, w tych tajemniczych czeluściach jego konstrukcji, na których złe i dobre nie zlewa się jeszcze w jedność niepewną, lecz jest rozgraniczone granicą bezwzględną i uchwytną. Mówi o tym Ewangelia, czytana co dzień na zakończenie mszy, wspominając o tej "światłości prawdziwej, która oświeca każdego człowieka na ten świat przychodzącego." I w późniejszych latach, także przez twardą opokę naszej natury osłabionej nadużyciem wolnej woli przez zakamarki naszych słabości i gorzkich błędów, przebija czasem jej promyk. Dzieje się to w chwilach ostatecznego niebezpieczeństwa. Wtedy człowiek, choćby nieodwołalnie stracony, odzyskuje równowagę i spokój, jeżeli . . . jeżeli droga, na której się znajduje, jest drogą sprawiedliwą.

Genialny prestidigitator dusz Nowego Świata, Franklin Roosevelt nazwał Polskę "natchnieniem narodów." Może miał na myśli fakt, że Polacy wzięli w zwycięstwie tej najdonioślejszej z bitew świata znacznie większy udział, niż to wydawać by się mogło temu, który tylko sumuje wystrzelone kule. W 1939 roku Polska występując do walki z przerażającą siłą przeciwnika, do walki, której wynik był niewątpliwy, kierowana była ową nadświadomością istotnych prawd tego świata, nieuchwytnych materialną cyfrą. Żołnierz polski walcząc nawet wtedy, gdy już wszystko przepadło, był pewien, że istnieje ów porządek nadprzyrodzony, wyrażający się w absolutnej sprawiedliwości. Sprawiedliwość dla Polski—to przecież zwycięstwo prędzej czy później. To przekonanie i tę nadświadomość polskie oddziały lądowe, powietrzne i morskie przywiozły z sobą na ziemię angielską. To był nasz największy, najbardziej cenny udział w wojnie "między dobrem a złem," jak słusznie ją określił Lord Halifax.

Jeden z amerykańskich dziennikarzy, Craig Thompson, charakteryzując naszych lotników w artykule "*Poland's Avenging Eagles*" powiada: "*They are demoniac fighters, because their lives have lost practically all spiritual values, except hatred and thirst for vengeance against Hitler's Luftwaffe. They have lost their families, homes, country. Death is to them unimportant as long as in dying they are able to deal a blow at the cause of their tragedy.*"

Nie sądzę, by ten obraz polskiego pilota odpowiadał prawdzie. Polscy lotnicy nie są "desperados" z Bractwa Wybrzeży czy Związku Piratów i Flibustierów. Rzeczywiście życie nie przedstawia dla nich żadnej wartości, lecz jedynie w porównaniu z wartością nadrzędną: zwycięstwa ostatecznego. Lubią się i teraz bawić jak inni, lubią i popić i wcale nie są niewrażliwi na wdzięki kobiece. Lecz ich walka nieustępliwa, walka bezwzględna i do ostatniego bynajmniej nie rodzi się z ducha potrzaskanego do reszty, pałającego chęcią zemsty, pożaru, zabijania, mordowni, póki się samemu nie zginie, lub choćby ze źródła może romantycznych, ale jakże w gruncie rzeczy taniutkich tragedii, osobistych tragedii.

Nie, ów duch rodzi się ze znajomości największej tajemnicy wszelkiego zwycięstwa, że gdy raz się walczy, należy walczyć zarówno ciałem, jak i duchem, zarówno mózgiem jak i muskułami, poświęcić się walce bez reszty, bez zastrzeżeń, rozpływać się w walce, tracić duszę—by ją zyskać.

Świetnie rozumieją to Niemcy, żołnierze doskonali, głębocy analitycy walki, wiedzą, że od zaprzedania się walce—zależy zwycięstwo. Usiłują więc takiego właśnie ducha wzniecić w swych eskadrach wszelkimi sposobami: wywoływaniem sztucznej wiary w niepokonalność Hitlera, wywoływaniem uczucia nienawiści /*Kinder*! *Lernet hassen*/*, a nawet środkami podniecającymi, gdy duchowe zastrzyki zawodzą.

Lotnikom naszym nie potrzeba sztucznych podniet, ich wiara opiera się pewnie na owej świadomości, która uchyla obawę załamania się wobec nadprzyrodzonych zjawisk, czy wobec gróźb konkretnej przemocy.

Teraz spójrzmy oczyma krytycznymi na naszych aliantów—Brytyjczyków, z którymi związaliśmy się świadomie na "śmierć i życie." W naturze brytyjskiej leży dokładność w wypełnianiu wziętego na się obowiązku. Wielowiekowe przygotowania młodych pokoleń do "*fair play*'u" zarówno na terenie sportu, czy zawodu, czy nawet prywatnej "*hobby*"—wyrobiło w nich ducha bojowników zarówno nieustraszonych, jak i oddających się walce bez żadnych koncesji, całkowicie. Przy innych pobudkach—wynik ten sam.

I na tym polu zeszły się charaktery dwóch, do niedawna tak dalekich sobie duchowo narodów. I teraz przyszło niespostrzeżenie do wzajemnej wymiany wartości duchowych: solidności w wykonywaniu dla Polaków, duchowej zaciekłości walki dla Brytyjczyków. Gdyż najdoskonalsza moc ducha nie znajdzie formy uzewnętrznienia bez doskonałości rytuału, gdyż nawet mistrzowskie rzemiosło nie jest znakomite bez geniuszu ducha. Tak umocniło się w duszach obu narodów przekonanie o wyższym porządku świata, któremu na imię sprawiedliwość absolutna.

Tym wartościom Niemcy nie mogli przeciwstawić niczego prócz olbrzymiej liczby maszyn prowadzonych przez opętanych lub narkomanów, prócz krzyków Goebbelsa i gróźb Hitlera.

Oto przyczyny zwycięstwa w *Battle of Britain*.

Patrząc na to z rocznej perspektywy mimowoli wyłania się obawa, by nie stracić żadnych z wartości opłaconych krwią, tak obficie przelaną. Myślimy tu tylko o Polakach. Nie tylko o lotnikach, ale o wszystkich żołnierzach i całej emigracji.

Niewątpliwie w chwili wstępowania na wyspy brytyjskie łączył nas ów *common sense* wyższego rzędu, ciągła myśl o ostatecznym zwycięstwie. Wynieśliśmy ją z garścią ziemi zachowanej w woreczku, podjętej w chwili przekraczania granicy. Z nią powinniśmy nie tylko wrócić, lecz nim wrócimy — wygrać jeszcze wiele bitew, może nawet cięższych i krwawszych od *Battle of Britain*, które wymagać będą znów poświęcenia duszy i ciała jednej sprawie. Tych bitew nie unikniemy ani tu ani na kontynencie.

O tym tylko nieustannie myśleć trzeba: o walce i o zwycięstwie.

O niczym innym.

Adam Sterbałła

*"Dzieci, uczcie się nienawidzieć"—z mowy majora niemieckiego do wychowanków-kadetów.

"BATTLE OF BRITAIN" W CYFRACH.

Faza bitwy	Cele ataków npl.	Ilość ataków npl.	Ogólna ilość strąconych samolotów npl.	Ilość sam. npl. strąconych przez Polaków	Ilość strat własnych (w nawiasie ilość pilotów uratowanych)
8.VIII.-18.VIII.	Konwoje i miasta portowe	26	697	24	153 (60)
18.VIII.-23.VIII.	Loty rekonesansowe i bombardujące pojedyńczych samolotów	—	39	—	10 (6)
24.VIII.-5.IX.	Lotniska	35	562	34	219 (132)
6.IX.-5.X.	Londyn i ośrodki przemysłowe	38	883	137	niepodane
15.IX. niedziela, krytyczny dzień bitwy	Londyn	500 samolotów np. atakowało w dwu falach	185	18	25 (14)

W czasie od 8.VIII.—5.IX lotnictwo brytyjskie wykonało 4.523 loty bojowe za dnia
W czasie od 8.IX.—31.X lotnictwo brytyjskie dokonało 6.077 lotów bojowych za dnia: razem 10.600

Dane ogólne są zestawione według broszury "The Battle of Britain," wydanej przez brytyjskie Ministerstwa Informacji i Lotnictwa, 1941 r.

Dane dotyczące lotnictwa polskiego pochodzą z dokumentów dostarczonych przez Dowództwo Lotnictwa Myśliwskiego R.A.F. (Headquarters Fighter Command).

BRYTYJSKO-POLSKA PRZYSZŁOŚĆ BAŁTYKU

II.—Nauka z wyprawy, która nie doszła do skutku*

Aby Polska i inne państwa położone nad Bałtykiem mogły naprawdę korzystać z wolności morskiej i morskich szlaków komunikacyjnych, aby mogły naprawdę liczyć na bezpośrednią pomoc swoich zachodnio-europejskich sojuszników, aby wreszcie zagrodzić Niemcom drogi inwazji na kraje skandynawskie i zamknąć krąg otaczającej Rzeszę blokady—Bałtyk musi być morzem otwartym, to znaczy, praktycznie biorąc, morzem, na które miała by swobodny dostęp flota brytyjska, strażniczka wolności mórz.

Jak zaznaczaliśmy w poprzednim artykule, Churchill już podczas pierwszej wojny światowej oceniał znaczenie otwarcia wrót Bałtyku. Był on wówczas Pierwszym Lordem Admiralicji, czyli ministrem marynarki wojennej. Pierwszym Lordem Morskim czyli dowódcą *Navy*, był admirał Fisher.

PLAN FISHER-CHURCHILL

Fisher opracował śmiały plan operacji mającej na celu otwarcie Bałtyku, a następnie zaatakowania Niemiec od strony wybrzeża. Flota brytyjska miała sforsować cieśniny duńskie, zaminowane i patrolowane przez flotę niemiecką znacznie wówczas silniejszą niż dziś. W tym celu główne siły brytyjskie miały związać główne siły niemieckie na Morzu Północnym, zaś flota rosyjska miała niepokoić Niemców na Bałtyku. W tym czasie silna eskadra okrętów liniowych i krążowników, wspomagana przez kontrtorpedowce, miała przebijać się przez cieśniny. Po ich sforsowaniu i zabezpieczeniu flota brytyjska miała wziąć udział w wspólnej z Rosjanami akcji morsko-lądowej przeciw Niemcom. Na statkach dostarczonych przez W. Brytanię i pod osłoną *Navy* półmilionowa armia rosyjska miała być dowieziona do wybrzeży niemieckich celem dokonania wielkiego desantu na wspaniałych plażach bałtyckich. Projektowane były dwa warianty tej operacji: albo desant na polskim Pomorzu, gdzieś w okolicach Gdańska i uderzenie na tyły frontu wschodniego Niemców z kierunkiem np. na Toruń, albo też desant w okolicy Szczecina i uderzenie na odległy zaledwie o 150 km. Berlin.

Główną trudność otwarcia Bałtyku stanowi położenie i charakter cieśnin duńskich. Wszelkie cieśniny, nawet niebronione z wybrzeża, utrudniają akcję floty, ograniczając możliwość swobodnego manewru. Najszersza i najbardziej od wybrzeży Niemiec oddalona cieśnina Sund jest bardzo płytka: 6-7 metrów, skutkiem czego jest niedostępna dla większych jednostek bojowych o zagłębieniu 10 metrów.

Głęboki Bełt jest bardzo wąski i przechodzi od strony Bałtyku wzdłuż niemieckiego wybrzeża. W ten sposób pola minowe, założone w Bełcie, mogą być bronione z wybrzeża a nieprzyjaciel forsujący Bełt musi się znaleść pod ogniem ciężkiej artylerii ustawionej na brzegu. Liczne przykłady /Dardanele miały wkrótce raz jeszcze to potwierdzić/ dowiodły przewagi dobrej artylerii wybrzeża nad artylerią okrętową. Bełt był trudny do zdobycia z północy, jeśli w ogóle można go było zdobyć z tego kierunku. Ciężka artyleria okrętów liniowych, nadchodzących z północy nie mogła osłonić swym ogniem pracy trawlerów, likwidujących pola minowe pod ogniem baterii wybrzeża, niedosięgłych dla artylerii floty operującej w Bełcie z północy.

Plan przewidywał więc przedarcie się przez Sund brytyjskich sił lżejszych i specjalnie dla tej operacji zbudowanych okrętów pancernych o artylerii dużego kalibru, ale płytkim zanurzeniu. Eskadra ta, po sforsowaniu Sundu miała zaatakować Bełt od południa, równocześnie z atakiem od północy innej eskadry wielkich okrętów liniowych. Atak od południa miał osłonić pracę trawlerów, zmuszając brzeg do milczenia. Po zdobyciu Bełtu droga byłaby otwarta i dla największych brytyjskich pancerników.

Jak daleko Admiralicja posunęła swe przygotowania do wyprawy bałtyckiej świadczy fakt, że dwa, do dziś dnia będące w służbie najpotężniejsze krążowniki pancerne "Renown" i "Repulse," skonstruowane podczas poprzedniej wojny, wybudowane były z myślą o tej wyprawie. Z tą samą myślą budowana była cała eskadra sześciu krążowników pancernych, z których część była następnie przerobiona na lotniskowce, z których dwa pełniły służbę jeszcze podczas obecnej wojny.

Plan Admirała Fishera zdradzał pomysłowość wielkiego wodza i był zakreślony z rozmachem. Churchill stał się gorącym jego rzecznikiem.

ROSJANIE ZAWIEDLI

Sztab brytyjski zwrócił się do Rosjan o wspólne przeprowadzenie śmiałej myśli strategicznej adm. Fishera. Po stronie rosyjskiej nie została ona jednak należycie oceniona. Rosjanie nie rozumieli i nie doceniali znaczenia wojny na morzu.

Większość sił morskich Niemiec stale przebywała na Morzu Północnym, zagrożonym przez potężną *Navy*. Na Bałtyku Niemcy trzymali małe, chwilami znikome siły, a przeprawa eskadr bojowych przez Kanał Kiloński była zawsze sprawą paru dni i dość dużego ryzyka. Mowy więc nie było o zaskoczeniu. A jednak Rosjanie nigdy nie zdobyli się na wykorzystanie tego stanu rzeczy, dającego im faktyczną przewagę.

Naczelne dowództwo rosyjskie nie uznawało floty za osobną broń o specjalnych zadaniach strategicznych, tylko traktowało ją jako część sił broniących lewego skrzydła armii lądowej, w szczególności zaś Piotrogrodu, przed atakiem Niemiec z morza. Takie traktowanie floty paraliżowało jej działanie i więziło stale jej główne siły w Zatoce Fińskiej. Wysłanie tej floty do współpracy z forsującą cieśniny duńskie flotą brytyjską wydawało się Rosjanom czymś zbyt ryzykownym a sprawę desantu na wybrzeżu niemieckim uznali oni w ogóle za pomysł fantastyczny.

Nie doceniając projektu adm. Fishera i nie decydując się na jego przeprowadzenie Rosjanie schowali go pod sukno, ociągając się z udzieleniem zdecydowanej odpowiedzi, choć zdaje się nigdy też nie wypowiedzieli w tej sprawie stanowczego "nie." Admiralicja budowała specjalne okręty dla forsowania cieśnin duńskich, ale sztab brytyjski nie naciskał zbytnio Rosjan w sprawie decyzji i wyprawa na otwarcie Bałtyku nigdy nie doszła do skutku.

Okręty brytyjskie nigdy też w tamtej wojnie nie zawitały na Bałtyk. Wysłano jedynie na pomoc Rosjanom ośm okrętów podwodnych, z których tylko cztery przedostały się przez cieśniny, dotarły do portów rosyjskich i walczyły na Bałtyku. Zatopiły one i ciężko uszkodziły szereg jednostek niemieckich, w tym jeden pancernik. Warto przy tym przypomnieć, że dowódca jednego z tych okrętów podwodnych, obecnie w randze admirała, jest dowódcą całości brytyjskich sił podwodnych.

W związku z utknięciem projektu zaatakowania Bałtyku—Churchill nie mogąc przeprowadzić jednego pomysłu nawiązania kontaktu z Rosją przez Bałtyk zdecydował się na inny. Tak doszło do niefortunnej wyprawy na Dardanele, wyprawy, która kosztowała Sojuszników dziesiątki tysięcy żyć ludzkich i dziesiątki tysięcy ton okrętów wojennych, a po długich i bezowocnych wysiłkach została zaniechana w chwili, gdy, jak się po wojnie okazało, Turcy nie mieli już więcej amunicji, ich baterie w ciągu 24-ch godzin musiałyby zamilknąć a forty paść.

Fakt, że Churchill nie mogąc przeprowadzić planu otwarcia Bałtyku, szukał drogi do wschodniego Sprzymierzeńca przez Dardanele i Bosfor, świadczy najlepiej o tym, jak wielką wagę przywiązuje on do sprawy utrzymania bezpośredniej łączności morskiej pomiędzy sprzymierzeńcami i wynikającej z tego bliższej, ściślejszej współpracy.

W związku z projektowaną przez adm. Fishera i Churchilla akcją bałtycką warto zanotować głosy brytyjskie po wojnie stwierdzające, że przeprowadzenie tej akcji prawdopodobnie skróciło by wojnę o parę lat i doprowadziło by do ostatecznego zwycięstwa w 1915-16 roku, oraz że opłaciło by się nawet, zamiast pakować armię brytyjską do Flandrii, zużyć ją do wspomnianego już desantu na bałtyckim wybrzeżu Niemiec.

Pozostaje faktem, że podczas poprzedniej wojny, Bałtyku nie otwarto, oraz że w Traktacie Wersalskim nie zrobiono nic, by Bałtyk otworzyć podczas pokoju. Przeciwnie nie stworzono warunków, w których Polska mogłaby stać się na morzu siłą, mogącą w sojuszu z W. Brytanią stanowić siłę przeciwważącą potęgę morską Niemiec na Bałtyku.

BITWA, DO KTÓREJ NIE DOSZŁO

Jeden z najlepszych polskich publicystów morskich inż. Juliusz Ginsbert /Jim Pocker/ na dwa, trzy lata przed obecną wojną w książce "Czy Bałtyk jest morzem otwartym?" przedstawił wizję, jak wyglądałaby akcja otwarcia Bałtyku w przyszłej wojnie. Brał on pod uwagę ówczesne siły morskie W. Brytanii, Rosji i Niemiec—liczył się ze współdziałaniem Rosji z Brytanią. Ginsbert barwnie opisał samą akcję w cieśninach duńskich, masowe ataki lotnictwa niemieckiego na eskadry brytyjskie, walkę floty rosyjskiej z częścią sił niemieckich, wreszcie wielką bitwę morską, w której flota brytyjska spotkała się z flotą niemiecką.

Niestety rzeczywistość wyglądała inaczej. Rosja od początku wojny nie poszła z W. Brytanią, która nie mając dostatecznie silnego sprzymierzeńca i baz morskich na Bałtyku nie zdecydowała się na żadną akcję na tym odcinku frontu morskiego. Zresztą—polityka i taktyka prowadzenia wojny za czasów Chamberlaina przesądzała z góry na niekorzyść sprawę wielkiej, śmiałej i zakrojonej na wielką skalę akcji. Przeciwnie, nie zabezpieczono nawet interesów sojuszników w Danii, która powinna była być zaraz na początku wojny okupowana przez W. Brytanię. Za to zaniedbanie zapłacono zajęciem przez Niemcy Norwegii i dalekim oskrzydleniem wysp brytyjskich od północnego wschodu.

Wolno mniemać, że gdyby w tym czasie na czele rządu brytyjskiego stał Churchill—sprawa Bałtyku wyglądała by zupełnie inaczej. W każdym razie jest faktem niezbitym, że wbrew interesom sprzymierzonych, Bałtyk pozostał w tej wojnie morzem zamkniętym, na które flota brytyjska nie ma dostępu, morzem, na którym rządzi flota niemiecka i które służy tylko interesom niemieckim.

Żywotny interes Polski każe pilnować, by przy dyktowaniu Niemcom warunków przyszłego pokoju—zabezpieczono raz na zawsze panowanie floty brytyjskiej również i na Bałtyku i by fakt, że Bałtyk jest morzem zamkniętym nie ważył już więcej tak bardzo niekorzystnie na naszym bezpieczeństwie.

Andrzej Doddies

* Por. pierwszy artykuł cyklu: "Polska po-wersalska i przyszła Polska na morzu," druk. w nr. 44 "Polski Walczącej" z b.r.

Szkic sytuacyjny

SEBASTOPOL—KAUKAZ

Niemieckie aparaty typu "Stuka" bombardują stanowiska obronne Sebastopolu. Jest to wstęp do szturmu, który napewno nie pójdzie Niemcom łatwo. Pod Leningradem, Moskwą *front krzepnie.* W Moskwie odbywa się na Placu Czerwonym parada, Stalin wypowiada swoją mowę w stolicy Rosji. Są to dla prestiżu niemieckiego zjawiska *szczególnie przykre,* albowiem odwleka się chwila, do której Niemcy od początku wyciągali łapczywie rękę.

Każdy totalizm jest niebywale czuły na prestiż, choruje na *chorobę nieomylności,* jest pyszny i próżny, łasy na reklamę. Dyktatorzy chcą być nieomylni, a cały aparat propagandowy nastawiony jest tak, ażeby, gdy przepowiednie dyktatora zawiodą, momentalnie wymyślić jakieś wytłumaczenie, jakieś: "ja przecież wcale tak nie chciałem . . . mnie się nawet nie śniło . . ." Opowiadania sztabu generalnego Rzeszy redagowane były przypuszczalnie niecierpliwą dłonią dra Dietricha, szefa prasy. Ów powiernik Hitlera przeskoczył generałów, którzy napewno są wściekli na tego "durnego cywila."

Albowiem armie sowieckie nie zawaliły się na froncie centralnym, mimo zmiany dowództwa — dokonanie takiej zmiany jest czynem ryzykownym w dobie wojny i jeżeli się zmiany takiej dokonuje, to ma się najwidoczniej przekonanie, że nie wprowadzi to zamieszania—Żukow wytrzymał, Timoszenko poratował południe. Szapożnikow, który słusznie wydobyty został z półcienia, napewno zyskał ufność u podległych mu dowódców.

Kaukaz jest oczywiście oskrzydlony wojną, ale nie znaczy to bynajmniej ażeby był stracony. Operacje kaukaskie wymagać będą albo interwencji od strony morza—okręty podwodne? — popartej desantem, albo jakiejś *super-Krety,* co jest zabiegiem niebywale kosztownym i wymagającym czasu na przygotowanie.

UFNOŚĆ SOWIECKA

Z przemówienia Stalina wynika jasno, że Rosja żywi ufność w swoją obronę i że posiada najwidoczniej *przesłanki* do twierdzenia, że upora się z nowymi, chociażby groźnymi zagonami Niemców. Tego rodzaju ufność jest dobrym znakiem. Nie wiemy, w jakiej mierze Rosja przygotowała się na swoim zapleczu na spotkanie nowych ofensyw, ale wydaje się, że przemysł sowiecki w okręgu poduralskim pracuje nader wydatnie i że *w dziedzinie lotniczej Rosja sztukuje wcale zręcznie swoje braki.*

Stalin domagał się powołania do życia *drugiego frontu* na kontynencie Europy, co więcej, zapowiedział jego stworzenie. Nie wiemy w danej chwili, co to znaczy, ale przypuszczać trzeba, że słowa Stalina nie były rzucane na wiatr.

NOWY KONGRES WIEDEŃSKI?

Poważne pisma Londynu, z "*Times'em*" na czele poświęciły sporo miejsca rozbiorowi możliwości zwołania przez Hitlera jakiegoś nowego kongresu wiedeńskiego, któryby zajął się ogłoszeniem "pokoju" w Europie, zgody państw okupowanych i neutralnych na niemiecki "nowy ład." Doniesienia tego rodzaju przenikają ze źródeł neutralnych. Niewiadomo, ile z tych doniesień obliczonych jest na wywołanie wrażenia, ile zaś w tych doniesieniach jest prawdy.

Powiadają, że kongres "pokojowy" miał się odbyć w gruncie rzeczy w Moskwie, ale narazie—siedzą tam jeszcze gospodarze. Wobec tego, jako prezent św. Mikołaja, ma być zwołany ten oto zjazd wiedeński, na którym ogłosiłoby się, że właściwie wojna jest zakończona, że ludy Europy chcą pokoju, że jeżeli Anglia dalej będzie prowadzić wojnę, to na nią spada odpowiedzialność za tę "zbrodnię" . . . A wojna w Rosji? Nazwie się ją tylko—operacją policyjną, *sprawą wewnętrzną* Rzeszy i ogłosi, że w gruncie rzeczy i ta wojna jest tak dobrze jak skończona.

Tak powiadają doniesienia neutralnych obserwatorów, cytowane w Londynie. Oczywiście, tego rodzaju figle nie są wykluczone. Maszyna propagandowa może i tego rodzaju obrazek sfabrykować. Będzie to mocno retuszowany obraz, ale od czegoż jest propaganda?

Wydaje się jednak, że podobne widowisko byłoby w obecnych warunkach *mocno ryzykowne.* Wojna w Rosji nie jest skończona — co to, zima dopiero się zaczęła, trzeba będzie pomyśleć o tysiącach spraw, jak przemundurowanie, jak wzniesienie stannic, koszarów, jak uzyskanie leż zimowych. Koła niemieckie przebąkują pono, że na północy trzeba będzie może w ogóle przejść na system z ostatniej wojny światowej i zbudować okopy, a tylko na południu, gdzie Niemców tak bardzo korci i ciągnie nafta kaukaska, przeprowadzać się będzie dalej operacje.

Doniesienia angielskie ocenić trzeba zatem jako przedwczesne. Ofensywa pokojowa musi być przygotowana ogniem huraganowym, którego śladów dotychczas jeszcze nie odkryto. Jesteśmy raczej w dobie zaciągania dział na pozycje, raczej wypatrywania stanowisk i obliczania celności artylerii aniżeli samego rozpoczęcia ognia.

Właściwa ofensywa pokojowa winna zacząć się od przyszłej wiosny. Poprzedza ją—tak się zdaje—zawieszenie walki powietrznej nad Anglią /Niemcy nie odpowiadają niemal zupełnie na akcję R.A.F.-u nad Rzeszą/ i rozmaite z cicha pęk enuncjacje przedstawicieli państw neutralnych. Dopiero na wiosnę mogłaby przyjść właściwa akcja, a kongres wiedeński mógłby się zebrać w Wiedniu w pięknym miesiącu maju. . . .

Ponieważ Niemcy nie robią niczego bez dokładnego, nieraz zbyt dokładnego przygotowania, ponieważ wszystkie ich posunięcia oparte są na kalkulacjach, ponieważ polityka niemiecka—mimo wrażenia, jakie czasem robi—unika na ogół ryzyka, toteż i tego rodzaju sprawa jak kongres wiedeński wydaje się raczej przedwczesnym zabiegiem; żadnej przecież ze spraw Niemcy nie załatwili: ani wojny z Rosją, ani zgody chociażby pewnej grupy państw na "nowy ład." Przed wiosną nie należy się zatem spodziewać żadnego kongresu wiedeńskiego, ale oczywiście pogłoski, jakie zamieszcza prasa londyńska wskazują, *w jakim kierunku* Rzesza pracuje i jakie zamierza, w pewnej szczęśliwej dla siebie koniunkturze, rzucić na stół karty.

Londyn, 9 listopada 1941.

Zbigniew Grabowski

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 1.XI.—10.XI.1941

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 5	Łączna ilość samolotów biorących udział w wyprawach: 62
	Główne cele: Berlin, Hamburg, Kilonia, Mannheim, Boulogne, Le Havre.
Razem od czasu przybycia do Anglii do 10.XI.1941	
zestrzelono samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 404	Łączna ilość samolotów: 1319

Wojsko Polskie na Bliskim Wschodzie

III.*

Brygada bardzo uroczyście obchodziła święto "Żołnierza Polskiego" w dniu 15. sierpnia 1940 r.

Uroczystość rozpoczęła msza polowa, odprawiona przy zniczach, zapalonych ogniem z wieczystej lampy Grobu Świętego. Przeniosły ten ogień z Bazyliki Jerozolimskiej rozstawne sztafety pochodniowe żołnierzy polskich.

Było to pierwsze wystąpienie wojska polskiego publicznie, t.j. wobec szerokich mas społeczeństwa palestyńskiego, w obecności wysokiego komisarza angielskiego i szeregu najwyższych dostojników wojskowych, rządowych, arabskich i żydowskich. Defilada, pokazy wojskowe i rozgrywki sportowe wypadły doskonale. Żołnierz polski zyskał sobie wielkie uznanie i sympatię swoją wzorową postawą, sprawnością i wyszkoleniem. W dniu tym dowódca brygady usłyszał wiele miłych słów pod adresem swych żołnierzy.

Na obiedzie żołnierskim przypadł nam zaszczyt gościć lotników angielskich z *group capitainem* na czele. Dało to okazję do zbliżenia się, do zadzierzgnięcia serdecznych nici sympatii. Na rewanżowym przyjęciu w kasynie lotniczym oba zespoły oficerskie, angielski i polski, tworzyły już harmonijną jedność lotniczą.

W dniu rozpoczęcia kursu lotniczego zawezwano mnie niespodzianie do Kwatery Głównej, gdzie dowiedziałem się, iż na mocy decyzji otrzymanych z Londynu, przez Kairo, lotnicy polscy wyjadą do Anglii. Polecono mi zarządzić alarm oddziału lotniczego i trzymać go w stanie stałego pogotowia marszowego. Data i godzina odjazdu trzymane były w ścisłej tajemnicy, wiadome jedynie było, że wyjedziemy do Egiptu koleją, a tam w jednym z portów załadują nas na okręt, którym odpłyniemy do Anglii.

Wieść ta rozniosła się lotem błyskawicy po obozie, co miało ten skutek, że nie mogłem się opędzić przed całymi gromadami żołnierzy napraszających się, aby ich przyłączyć do oddziału lotniczego. Nic nie pomogły moje tłumaczenia, że do Anglii mogą jechać tylko prawdziwi lotnicy, albowiem to nie jest rekrutacja do lotnictwa, tylko odejście na przeszkolenie tych, którzy jeszcze w Polsce służyli w lotnictwie. Każdy młody zapaleniec przekonywał mnie, że jeszcze w łonie matki marzył o lotnictwie, lub też posuwał się do kłamstwa, że w Polsce skończył kursa szybowcowe, względnie motorowe.

Młodzież garnęła się do lotnictwa, bo chciała się bić, a docierająca już przez radio wieść o wyczynach lotników polskich we Francji i Anglii rozpalała wyobraźnię i miała siłę przyciągającą magnesu. Sztab brygady był zdumiony taką ilością kandydatów do lotnictwa i obawiał się, abym nie zabrał z pół brygady ludzi ze sobą. Na tym tle dochodziło nieraz do komicznych sytuacji. Młody podporucznik piechoty zapewniał mnie, że zrezygnuje ze stopnia oficerskiego, byle tylko dostać się do lotnictwa i wyszkolić na pilota; jakiś ksiądz przekonywał mnie, że będzie skwapliwie zaspakajał wszystkie nasze potrzeby religijne, byle go tylko zabrać ze sobą; kiedy indziej, inżynier-górnik starał się koniecznie udowodnić, że jest inżynierem lotniczym. Całe tłumy żołnierzy stawały do raportów u swych dowódców z prośbami o przeniesienie do lotnictwa. Doszło do tego, że zabroniono żołnierzom nawet wspominać o lotnictwie.

Podkreślam ten fakt, jako znamienny i ilustrujący ducha panującego wśród naszej młodzieży żołnierskiej. Zgłaszali się tłumnie do lotnictwa, nie dlatego, że im źle było w brygadzie, przeciwnie, jedynie dlatego, że chcieli jak najszybciej zaspokoić swe pragnienie walki z nienawistnym wrogiem.

Ażeby uspokoić żołnierzy zapewniano ich, że niedaleki jest czas, kiedy brygada zostanie przeniesiona na inny, aktywniejszy teatr wojny, gdzie będzie mogła zaspokoić swą żądzę walki. Zostało to po części zrealizowane, bo w niedługi czas po naszym odjeździe brygada została przeniesiona do Egiptu, przezbrojona w broń angielską i przygotowana do akcji. Obecnie bierze udział w walkach.

Z początkiem września nadszedł wreszcie upragniony dzień wyjazdu. Pożegnaliśmy wojsko polskie na Wschodzie z prawdziwym żalem, albowiem czuliśmy się wśród nich dobrze, czuliśmy się zdrowi moralnie, krzepcy na duchu i owiani tymi samymi uczuciami co oni: miłości ojczyzny i chęci oddania się w wysiłku wojennym bez zastrzeżeń na jej usługi.

Adam Wojtyga

* Por. nr. 44 i 45 "Polski Walczącej" z b.r. Niniejszy artykuł zamyka cykl.


مباريتان كبيرتان في كرة القدم
بملعب الترام بالشاطبي
فرقة الطيران البريطاني ضد نادي الترام
منتخب الجيش البولندي ضد منتخب الاسطول البريطاني
بالشرق
بالبحر الابيض
وستعزف موسيقى الاسطول البريطاني خلال الحفلة
Two Grand Football Matches
on the Tram S.C. Ground, Chatby
SATURDAY 29 MARCH 1941
Kick off 2,45 p m
A "R.A.F." Group XI
v.
TRAM S. C.
Kick off 4,15 p m.
POLISH ARMY
EASTERN XI
v.
BRITISH FLEET
MEDITERRANEAN XI
By kind permission a Royal Marine Band will be in attendance
Admission "Incl taxes": RESERVED SEATS P T. 11,5 · GEN ENT. P T. 6
Egyptian Printing Office · 5, Gen. Post Office

Program matchu footballowego między reprezentacją Brygady Karpackiej i reprezentacją Marynarki Brytyjskiej zredagowany w dwu językach: angielskim i—arabskim.

Wśród ruin i ludzi Egiptu

"Egipt" to słowo, które dla wielu z nas jeszcze rok temu pozbawione było głębszej treści. Ze szkoły pamiętaliśmy, że to kraj nad Morzem Śródziemnym, że płynie tam rzeka Nil, a nieśmiertelne dzieło Bolesława Prusa "Faraon", które każdy z nas czytał, dodało temu jakiegoś tajemniczego czaru. Kto z nas mógł marzyć o oglądaniu miejsc, po których chodzili potężni faraonowie, władcy tej ziemi piramid i tajemniczych sfinksów.

Złym losem zagnani znaleźliśmy się tutaj. Zobaczyliśmy piękne, lecz jakby europejskie miasto Aleksandrię i w głębi duszy doznaliśmy pewnego rozczarowania. To ma być Egipt . . Afryka? . . Tajemniczy świat wybudowany naszą wyobraźnią rozpłynął się, ustępując miejsca rzeczywistości, może mniej tajemniczej, lecz ciekawej i bogatej w wrażenia.

Aleksandria—to nowoczesna wieża Babel, rojowisko najróżnorodniejszych ras, ludzi, języków i interesów. Patrzymy na to bujne życie portowego miasta z zaciekawieniem, zmieszanym z pewną dozą zażenowania, takie to wszystko jakieś głośne, krzykliwe, bezceremonialne—słowem obce naszej umysłowości i usposobieniu. Nawet Europejczycy zamieszkali tutaj stale wydają nam się jakoś inni od tych w Europie, jakby przesiąknęli tym wiatrem wiejącym z pustyni, jakąś specyficzną atmosferą tego miasta.

My Polacy jesteśmy tu przedmiotem niebywałego i niesłabnącego zainteresowania. Widocznie odcinamy się od tłumu żołnierzy angielskich, australijskich, hinduskich i jeszcze innych. Ludność tutejsza jakoś inaczej patrzy na tych przybyszów z polskim orłem na angielskiej czapce—patrzy i obserwuje. Gdzie tylko Polak się pokaże, wszędzie śledzą go jawnie lub z ukrycia ciekawe, lecz życzliwe spojrzenia. Nigdzie nie ukryjemy się przed tymi przygodnymi lecz wnikliwymi obserwatorami.

Zresztą to nie tylko Arabowie lub, jak oni wolą, Egipcjanie na nas patrzą; obserwują nas również i Europejczycy. Dla pierwszych stanowimy jakieś stworzenia z innej, może lepszej planety, dla drugich przedmiot zdziwienia i miłego rozczarowania, a dla wszystkich razem—niespodziankę.

W tym wszystkim jednak, a przede wszystkim w tym miłym zdziwieniu jest coś drażniącego. Objaw, z którym spotkaliśmy się już niejednokrotnie, wędrując przymusowo poprzez Europę, i Małą Azję. Ludzie—i to nawet jednostki inteligentne i wykształcone—mają o Polsce jakieś dziwne wyobrażenia. Niewiadomo gdzie szukać przyczyn tego stanu rzeczy, faktem jednak jest, że dopiero wojna obecna i nasza wędrówka po świecie otworzyła wielu ludziom oczy na to, czym właściwie była i jest Polska i kim są Polacy. Bolesna to dla nas i kosztowna forma propagandy.

Jeśli więc dla przeciętnego Europejczyka do wojny obecnej słowo Polska było pustym dźwiękiem, co dopiero mówić o ludności tubylczej, pośród której tylko niewielu słyszało czy czytało przed tym o Polsce.

Arabowie to dziwna dla nas rasa ludzi. Czyni wrażenie dużych, w gruncie rzeczy dobrych dzieci. Polak to dla nich bohater, to ten, który przeciwstawił się pierwszy potędze niemieckiej. A lud tutejszy przede wszystkim ceni siłę i odwagę. W tym tak popularnym arabskim odezwaniu się "*Polon dobra*" mieści się więcej treści, niż przypuszczamy. "Dobry" to dla nich dzielny, silny, to wyraz podziwu i uznania. Dola nasza i miłość ojczyzny przemawiają do ich fantazji i wschodniej uczuciowości. Dlatego bliski im jest żołnierz polski.

Na każdym kroku spotkać się można z ich życzliwością, choć dla nas nieco zbyt natarczywą usłużnością, obliczoną zresztą często na "bakszysz." Abstrahując jednak od tej typowej dla całego wschodu żyłki interesu i "bakszyszu" uważają oni po prostu za zaszczyt dla siebie, jeśli mogą przysłużyć się w czymś Polakowi, a tym bardziej przebywać w jego towarzystwie. Ten objaw mający swe źródło w krępującym nas a nieuzasadnionym poczuciu niższości tego ludu w stosunku do Europejczyków występuje także u wielu ludzi stojących na wysokim poziomie umysłowym i kulturalnym.

Bo poza brudnym tłumem krzykliwych obdartusów, napastujących przechodnia natrętną prośbą o "bakszysz", istnieje także warstwa Egipcjan nieomal całkowicie zeuropeizowanych. Nieomal—bo jest jednak jeszcze coś nieuchwytnego, co różni ich od nas. Ludzie ci, wychowani i kształceni zagranicą—przeważnie we Francji—stanowią bardzo żywotny i narodowo uświadomiony element.

Wszyscy oni bez różnicy odnoszą się do Polaków z dużą życzliwością i szacunkiem. Widzą w nas wiele (może nawet za wiele) cech dodatnich i zalet. Uważają nas za naród niepokonany, który przyczyni się do zniszczenia potęgi niemieckiej. Cenią oni nasz gest, naszą rycerskość i dobre wychowanie, rozumieją i szanują nasze smutki . . .

Jeszcze kilka uwag o Europejczykach w Aleksandrii.

Najliczniejsza jest tu kolonia grecka i z tej strony także Polacy spotykają się z objawami sympatii i życzliwym zainteresowaniem. W sklepach czy restauracjach, które zresztą zdają się być opanowane prawie wyłącznie przez Greków—Polacy są wyróżnianymi gośćmi. Grecy cenią wysoko nasze wartości żołnierskie i dumni są, że mają w nas sprzymierzeńców. Mają oni poza tym pełne zrozumienie dla tragedii, którą przechodzi obecnie cały naród polski i szczerze z nami współczują.

Jak w imperium francuskim, także i tutaj—w Egipcie, ruch Niezależnych Francuzów ma bardzo wielu zwolenników. Pośród nich Polacy mają wielu prawdziwych przyjaciół, którzy bieg wypadków widzą we właściwym świetle, zdając sobie sprawę, jaką rolę spełniła Polska w obecnym konflikcie i jakie jeszcze Polaków czekają zadania.

Za przykład sympatii tego odłamu tutejszego społeczeństwa francuskiego służyć może następujące drobne lecz charakterystyczne zdarzenie, jakie niedawno miało miejsce w związku z kursującymi w Aleksandrii od dłuższego czasu pogłoskami o wyjeździe Brygady. Do grupki Polaków stojących na placu Mohmed Ali podeszła starsza pani—Francuzka, w towarzystwie męża. Upewniwszy się, że to Polacy, powiedziała: "Niech Bóg Was błogosławi i prowadzi do zwycięstwa i wolnej Ojczyzny Waszej" . . . .

Może istotnie już niedługo tu pobędziemy, może naprawdę ruszymy już niedługo w pierwszy etap drogi powrotnej—drogi wiodącej do WOLNEJ POLSKI !

Jednak wrażenia nasze i przeżycia na gościnnej ziemi egipskiej stanowić będą jedną z jasnych kart dziejów naszej wędrówki. W sercach naszych zabierzemy ze sobą wspomnienie słonecznej i pięknej Aleksandrii i pamięć dla tych, którzy dali nam tutaj dowody prawdziwej i bezinteresownej życzliwości.

("Ku Wolnej Polsce" z dn. 2.IV.1941.)



Burza piaskowa

Sir Archibald Wavell

Gwiazda Sir Archibalda Wavella znowu zabłysła. Przed kilku miesiącami zdawało się, że przeniesienie tego najwybitniejszego generała angielskiego z Egiptu do Indii usuwa go na dalszy plan. Opinia angielska była zaskoczona nagłą zmianą dowództwa na Bliskim Wschodzie. Nie przypuszczano wówczas, że obraz wojny zmieni się radykalnie na tamtych frontach, rozszerzając je niemal ku granicom Indii, i że ten "dalszy plan" stanie się bardzo bliski. Wypadki, które nastąpiły później w Iraku, Syrii, Persji, nie mówiąc już o ataku Hitlera na Rosję, sprawiły, iż nowa rola, powierzona generałowi Wavellowi, nabiera pierwszorzędnego znaczenia. Nic dziwnego, że znowu się o nim tyle mówi i pisze. Nie znaczy to bynajmniej, że generał Wavell spragniony jest rozgłosu.

W ciągu swej długiej a bardzo pięknej kariery wojskowej Sir Archibald Wavell, który zajmował wysokie i odpowiedzialne stanowiska, trzymał się raczej w cieniu. Nazwisko jego rzadko ukazywało się na szpaltach pism, toteż mało wiedziała o nim szeroka publiczność angielska. Gdy wojna wybuchła, megafony prasy popularnej sławiły innych generałów. Faworytami ich byli Lord Gort i Sir Edmund Ironside. Zresztą cała uwaga skupiona była wówczas na froncie zachodnim. Front, którego dowódcą był Wavell, wydawał się drugorzędny.

I oto w grudniu r. 1940 gen. Wavell stał się nagle bohaterem chwili. Imię jego nie schodziło z ust milionów Anglików. Odniósł wielkie zwycięstwo, rozbijając błyskawicznym uderzeniem armię włoską w Libii. Wyrósł w ciągu kilku dni ponad głowy wszystkich swych kolegów. Nazywano go geniuszem wojskowym, na którego Anglia tak długo czekała, największym wodzem od czasów Wellingtona.

Sytuacja na Bliskim Wschodzie była bardzo poważna. Marszałek Graziani na czele półmilionowej armii stanął u wrót Egiptu. Otrzymał on rozkaz inwazji tego kraju, zdobycia Suezu, marszu na Palestynę, Syrię, Irak—ku polom naftowym Mossulu. Olbrzymia przewaga liczebna i przewaga sprzętu wojennego była po jego stronie. Ale Graziani, mając na lewym skrzydle flotę brytyjską, a na prawym pustynię, wahał się i zwlekał. A gdy wreszcie, po prawie sześciu miesiącach przygotowań, postanowił ruszyć naprzód, Wavell uprzedził go i niespodziewanym okrążającym manewrem przez pustynię zadał cios śmiertelny jego armii.

Sukces Wavella przeszedł wszelkie oczekiwania. Churchill złożył mu hołd w parlamencie. Ujawnił on, iż siły, jakimi rozporządzał Wavell, były bardzo nieznaczne—zaledwie kilka dywizji pancernych. Jego śmiały atak wykonany był nie tylko błyskawicznie, lecz i z zadziwiającą dokładnością w najdrobniejszych szczegółach.

Wavell wskrzesił w nim świetne tradycje swego szefa z wojny ostatniej, marszałka lorda Allenby, przystosowując je do warunków wojny obecnej. Allenby osiągnął wówczas decydujące zwycięstwo w Palestynie przy pomocy okrążających ruchów kawalerii. Wavell z tym samym powodzeniem operował jednostkami pancernymi.

Należy zaznaczyć, iż Wavell był bliskim przyjacielem i wielbicielem pułkownika Lawrence'a, jednego z najbardziej fascynujących bohaterów tamtej wojny. W innych okolicznościach i na znacznie większą skalę przejął się on rozmachem walk podjazdowych tego genialnego partyzanta, który szalał, jak wicher po pustyni arabskiej.

Późniejszy odwrót nielicznej armii brytyjskiej z Libii, pod naciskiem przeważających sił pancernych Niemiec, nie pomniejsza bynajmniej doniosłości strategicznej zwycięstwa gen. Wavella. Ofensywa na Egipt została złamana. Abisynia padła. Cała sytuacja na Bliskim i Środkowym Wschodzie, wyjątkowo ciężka od chwili upadku Francji, odwróciła się na korzyść Anglii, mimo niepowodzeń na Bałkanach. Te osiągnięcia pod wodzą generała Wavella, należą do najświetniejszych wyczynów Anglii w wojnie obecnej.

W fachowych kołach wojskowych Anglii i zagranicy Sir Archibald Wavell oddawna cieszy się wielkim uznaniem. "Wavell jest pierwszorzędnym dowódcą i najlepszym generałem, jakiego posiadają Anglicy." Opinia ta zasługuje na szczególną uwagę, albowiem wydał ją generał von Keitel, szef sztabu niemieckiego.

Gen. Wavell ma za sobą czterdzieści lat służby, podczas których poznał gruntownie w teorii i praktyce wszystkie dziedziny sztuki wojennej.

Wavell wywodzi ród swój z rycerzy normandzkich, którzy nosili nazwisko de Vauville. Jeden z jego przodków przybył do Anglii z Wilhelmem Zdobywcą. Inny odznaczył się w wyprawach krzyżowych. Ród ten, osiadły przez szereg wieków w Somerset i na Isle of White, *wydał wielu dzielnych żołnierzy. Ojciec Sir Archibalda był generałem i służył w słynnym pułku szkockim* Black Watch.

Sir Archibald kształcił się w Winchester i w akademii wojskowej Sandhurst. Jako ośmnastoletni młodzieniec odbył kampanię południowo-afrykańską w pułku Black Watch, *służył w Indiach biorąc udział w walkach z plemionami górskimi na granicy północno-zachodniej.*

Podczas ostatniej wojny Wavell walczył przez dwa lata na froncie francuskim. Był ciężko ranny i stracił jedno oko. W r. 1916-1917 pełnił funkcje attaché wojskowego przy armii rosyjskiej na Kaukazie. Od 1917 do 1920 służył w brytyjskiej armii ekspedycyjnej w Egipcie. Odbył kampanię palestyńską jako szef sztabu lorda Allenby. Po wojnie był kolejno dowódcą szóstej brygady piechoty, drugiej dywizji, głównodowodzącym wojsk brytyjskich w Palestynie i Transjordanii, szefem dowództwa południowej Anglii.

Generał Wavell łączy w sobie sprężystość z inicjatywą, rutynę starego, doświadczonego oficera z polotem, talent organizacyjny z temperamentem bojowym wodza, dla którego pierwszą zasadą jest atak. Posiada w wysokim stopniu cechy wyróżniające go wśród generałów angielskich starszego pokolenia—szybkość decyzji i wyobraźnię. Ten generał o typie wybitnie intelektualnym nigdy nie uznawał dogmatów strategii, [illegible]

*Generał Wavell jest autorem znakomitego studium o marszałku Allenby**, [illegible] *"Generals and Generalship", w których dał wyraz swym poglądom* [illegible]

"Gdy gen. Wavell wygłaszał te odczyty mniej niż jeden procent jego rodaków słyszało o nim kiedykolwiek. Dzisiaj nie ma chyba jednego na milion, który by o nim nie słyszał"—pisze gen. Sir John Dill, Szef Imperialnego Sztabu Generalnego, we wstępie do popularnego wydania tych odczytów.

[illegible]

Florian Sokołów

* Obszerne omówienie tej książki zawarł artykuł Czesława Jesmana [illegible] w nr. 15-16 "Polski Walczącej" z b.r.

** [illegible] "Generals and Generalship." Edited by Penguin Books.

O DOBRYM GENERALE

Zaszczycony zaproszeniem do wygłoszenia cyklu wykładów, postanowiłem wybrać jako temat, nie jedną poszczególną kampanię lub okres historii—jak się to zwykło czynić—lecz podzielić się z Wami szeregiem uwag ogólnych o sztuce dowodzenia, o generałach w ogólności. Sądzę, że w ten sposób pewne momenty, na które chciałbym zwrócić Waszą uwagę, zostaną lepiej uwypuklone w naszych rozważaniach nad historią wojen, niż w wypadku uwzględnienia jednej tylko kampanii.

Zapewne, stosunkowo niewielu z Was zostanie generałami. Ale wielu z Was będzie prawdopodobnie cierpieć, może nawet zyskiwać i odnosić triumfy—pod rozkazami generałów. [illegible]

[illegible]

mechanizm nie przyda się zbytnio na wojnie. A odnosi się to zarówno do umysłu, jak i sił fizycznych dowódcy, zarówno do ducha jego wojsk, jak i do broni i sprzętu, w jakie jest ono wyposażone. Każdy materiał wojenny—zaliczając doń i dowódców—musi mieć pewną miarę wytrzymałości, znacznie ponad granicę, w której normalnie następuje załamanie.

Nieraz się mówi, że brytyjski materiał wojenny jest zbyt solidny, to samo być może dało by się powiedzieć i o naszych dowódcach. Ale mamy z pewnością rację, żądając od nich wytrzymałości znacznie wyższej ponad przeciętną.

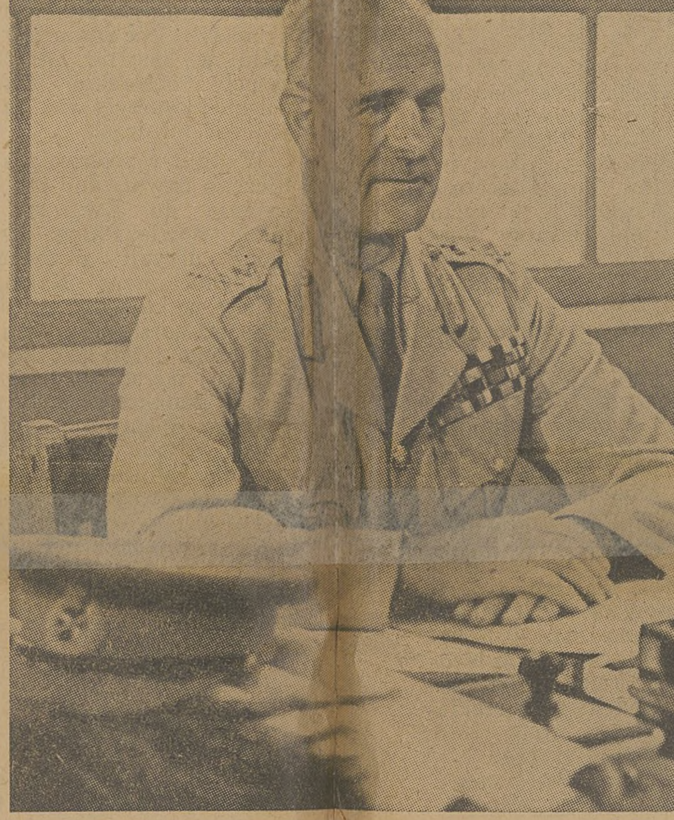
Dyskutuje się nieraz, czy prowadzenie wojny jest sztuką czy też nauką. Zauważyłem, że w zaproszeniu mnie do wygłoszenia tych wykładów, dano mi do wyboru jako temat jakąkolwiek gałęź "nauki" wojennej. Gdybym został zaproszony do sąsiedniego uniwersytetu w Oxfordzie, użyto by, być może, wyrażenia "sztuki" wojennej.

Nie znam jednak żadnej gałęzi sztuki lub nauki, w której by przeciwnicy, rywale, mieli swobodę rzucania kamieniami w artystę lub naukowca, wykradania jego narzędzi lub niszczenia jego materiałów podczas jego pracy nad obrazem, rzeźbą lub doświadczeniem naukowym. I aby on ponadto, miał przeciwko sobie jeszcze zawsze czynnik czasu. W podobnych warunkach ile dzieł sztuki lub wynalazków naukowych mogłoby być dokonanych?

O ile by nam szło o porównanie cywilne, wojna musi być porównana do gry. Do bardzo trudnej i brutalnej gry, w której wytrzymałe ciało i umysł są zasadniczego znaczenia.

Dowódca rozporządza życiem ludzkim, musi zatem posiadać wytrzymałość nerwową i psychiczną, dostateczną dla uniesienia ciężaru tej odpowiedzialności. Jak wielkiego napięcia tej wytrzymałości potrzeba—możemy o tym sądzić z licznych nagłych zgonów generałów podczas Wielkiej Wojny. Skoro czytacie historię wojen, zwróćcie uwagę na niepowodzenia spowodowane załamaniem się tej wytrzymałości.

Pragnąłbym powiedzieć słów parę o walorach fizycznych dowódcy: odwadze osobistej, zdrowiu, młodości. [illegible]



teren, lub nawet dowodzących z powietrza.

Dla przykładu, do jakiego stopnia dawniej wyżsi dowódcy znajdowali się bezpośrednio w ogniu, przypomnę, że podczas kampanii Blenheim[1], prowadzonej przez Marlborough[2] w szturmie na Schellenberg w armii sprzymierzonej poległo sześciu generałów dywizji, a pięciu zostało rannych. Pośród tysiąca pięciuset strat brytyjskich znajdowało się czterech generałów brygady i dwudziestu ośmiu brygadierów i podpułkowników.

O jednym z marszałków napoleońskich, Lefebvre[3], weteranie, który został odznaczony tytułem Księcia Gdańskiego opowiadają następującą historię. Pewien jego przyjaciel, cywil, zazdrościł mu odznaczeń, domu i innych zdobytych przez niego dostatków. Stary marszałek, doprowadzony tym do irytacji, tak się do niego odezwał:

"Dostaniesz na własność wszystko co posiadam, o ile zgodzisz się pójść ze mną do ogrodu, gdzie pozwolisz mi wystrzelić do ciebie dziesięć razy z odległości 40 kroków. O ile potem będziesz znajdował się przy życiu—wszystko, co tu widzisz będzie twoją własnością."

Przyjaciel wolał zrezygnować z oferty.

"Świetnie—rzekł książe gdański—ale pamiętaj, że do mnie strzelano setki razy z tej odległości, zanim zostałem właścicielem tego wszystkiego."

Dowódca musi niewątpliwie posiadać męstwo fizyczne i moralne. Voltaire tymi słowami podnosi je u Marlborough'a: "spokojne męstwo pośród zamętu walki, spokój duszy w niebezpieczeństwie, które są największymi darami natury u dowódcy."

Późniejszy pisarz wojskowy, który nie cenił zbyt wysoko Joffre'a[4], musiał przyznać, że jego niezachwiane opanowanie i uparta determinacja podczas najcięższych dni odwrotu, wyrównały poważne błędy strategiczne, jakie popełnił.

Zdrowie dowódcy jest oczywiście nader ważnym czynnikiem, ale wartość tego czynnika jest względna. Sądzę, że wszyscy wolelibyśmy mieć po swojej stronie chorego Napoleona, niż niejednego z wielu jego przeciwników, cieszącego się najlepszym zdrowiem. Wielki duch może rządzić wątłym ciałem, jak to Wolfe[5] i tylu innych wykazało. Marlborough podczas swoich najsławniejszych kampanii byłby odrzucony przez większość naszych komisji lekarskich.

Rozważmy następnie niemiłe zagadnienie wieku. Jeden z dawnych poetów rzymskich opisał ze zgorszeniem skandal starych mężczyzn na wojnie i w miłości. Nie jest jednak rzeczą łatwą określenie, w jakim dokładnie wieku generał przestaje być niebezpieczny dla przeciwnika, a Don Juan dla płci pięknej.

Hannibal, Alexander Macedoński, Napoleon, Wellington[6], Wolfe i wielu innych mogą służyć za przykład, że największe wyczyny wojenne należą do ludzi młodych. Ale z drugiej strony wiemy, że Juliusz Cezar i Cromwell[7] rozpoczęli poważną karierę wojskową już dobrze po czterdziestce, a Marlborough miał 61 lat podczas dokonywania swego najsławniejszego manewru, zakończonego zdobyciem tak zw. linii *Nec plus ultra*. Ostatnia kampania Turenne'a[8], gdy liczył już lat 63, uważana jest za najlepszą i najśmielszą. Moltke[9], najwybitniejszy z nowożytnych, wsławił się dopiero w wieku lat 66, a potwierdził swą reputację mając lat 70. Roberts liczył lat 67, gdy pojechał do Afryki Południowej po naszych pierwszych klęskach i ocalił sytuację otaczając armię burską pod Paardeburg i zdobywając Bloemfontein i Pretorię. Foch w wieku lat 67 posiadał nadal wielką energię, żywotność i oryginalność koncepcji.

Musimy pamiętać, robiąc porównania z przeszłością, że obecnie mężczyzna rozwija się znacznie później. I tak na przykład Wellington, Wolfe, Moore[10], Craufurd[11] byli wszyscy oficerami w wieku lat 15, a niejeden z nich był zaraz potem w czynnej służbie. Niemożliwością jest ocenić ściśle wartość zapału i śmiałości młodzieńczych w porównaniu z doświadczeniem i trafnością sądu wieku dojrzałego. Jeżeli umysł całkowicie dojrzały wciąż posiada zdolność twórczego myślenia i przyswajania nowych myśli, wytrzymuje nieprzewidziane niepowodzenia i jest w stanie wykonać śmiałe i nieortodoksyjne plany—wówczas góruje nad młodością doświadczeniem i lepszą oceną sytuacji.

Tym niemniej jednak, nie ulega wątpliwości, że dobry młody generał pobije dobrego starego generała. Obniżenie granicy wieku naszych generałów jest niewątpliwie posunięciem słusznym, nawet o ile przez to stracimy nieco zawcześnie dobrego dowódcę.

Nie sądzę, abym potrzebował rozwodzić się długo nad cechami moralnymi dowódcy. Najpilniejsze studia i nauki nie potrafią uczynić dobrego dowódcy z mężczyzny, który nie ma po temu wrodzonych zdolności. Zdajecie sobie doskonale sprawę, jakie powinny być zalety dowódcy. Będę o nich jeszcze mówił na następnym wykładzie. Obecnie podkreślę tylko najbardziej podstawowe.

Musi on mieć "charakter" to znaczy po prostu wiedzieć czego chce, i mieć odwagę i energię osiągnąć co zamierza. Powinien posiadać istotną znajomość natury ludzkiej — ludzie bowiem są surowcem, którym dowódcy rozporządzają. Ale przede wszystkim, dowódca musi posiadać ducha ofensywy, wolę zwycięstwa. Wszyscy to wiecie i uznajecie, że w sporcie najcenniejszy jest gracz, który zdobywa się na największy wysiłek, gdy przegrywa, który potrafi przetrzymać chwilę, w której wydaje się, że już jest pobity i nie chce pogodzić się z klęską.

Pragnę ponadto podkreślić jeszcze jedną cechę moralną, która odróżnia naprawdę wielkiego dowódcę od zwykłego generała. Musi on mieć zamiłowanie do ryzyka, musi w sobie mieć coś z gracza. Zdaniem Napoleona, "gdyby sztuka wojenna nie polegała w pewnej mierze na ryzykowaniu, sława byłaby osiągalna dla bardzo przeciętnych jednostek." Napoleon podobno zawsze się pytał, czy dany generał jest "szczęściarz." W istocie pytał się tylko "czy jest śmiały." Śmiały generał może się okazać szczęśliwym, ale żaden nie będzie szczęśliwy dopóki nie okaże się śmiałym. Dowódca, który będzie się zawsze czuł skrępowany regulaminem, jest niezdolny do wygrania bitwy. Jako przestroga, co się może wydarzyć dowódcy, który skrupulatnie trzymał się regulaminów opowiem wam pewien wypadek zaczerpnięty z historii wojen morskich.

175[12] lat temu, pewien sumienny, ale nieco ograniczony admirał prowadził na pokładzie fachową dyskusję ze swym oficerem flagowym, podczas gdy flota nieprzyjacielska znajdowała się w pobliżu, w położeniu tak wysoce krytycznym, że natychmiastowy atak byłby ją zniszczył. Admirał w dyskusji pragnął się upewnić, czy wszystkie jego zarządzenia i rozkazy były całkowicie zgodne ze skomplikowanymi i rozwlekłymi instrukcjami wydanymi przez Lordów Admiralicji. Podkomendny mu oficer flagowy przekonał go wreszcie o całkowitej zgodności jego rozkazów z instrukcjami z Londynu, ale w międzyczasie flota nieprzyjacielska zdołała się zabezpieczyć. Admirał po powrocie do Angli został oddany pod sąd wojenny i rozstrzelany "*pour encourager les autres*" /dla zachęcenia innych/. O ile zachęciło to innych do nieoglądania się w akcji na regulaminy i instrukje, śmierć nieszczęsnego admirała Byng nie poszła na marne.

W czasie pokoju regulaminy i rutyna mają swoje znaczenie, a śmiałość i oryginalność są prześladowane. I warto jest podkreślić jak mało pokojowej służby wojskowej mieli nasi najlepsi generałowie — Cromwell, Marlborough, Wellington i ich podkomendni Graham, Hill, Craufurd.

Dotychczas mówiliśmy o fizycznych i moralnych cechach dowódcy. Teraz weźmiemy pod uwagę intelekt. Najistotniejszym jest posiadanie tego, co Francuzi nazywają "*le sens du praticable*" /zmysł praktyczny/, a co my określamy jako zdrowy rozsądek, jako znajomość tego co jest, a co nie jest wykonalne.

Musi on być oparty o gruntowną znajomość "mechanizmu wojny" to jest topografii, ruchu, zaopatrzenia i t.d. Oto są prawdziwe podstawy wiedzy wojskowej, a nie strategia i taktyka, jak to sądzi większość z nas. Brak tej wiedzy o zasadach i elementach ruchu wojsk, nieznajomość administracji i gospodarki wojskowej, tej strony powiedziałbym "logiczno-rachunkowej" wojny sprawia, że strateg-amator popełnia błędy. Myli się on, nie zna bowiem tych zasad, podczas gdy reguły strategiczne są łatwo dostępne dla każdej, nieco ponad przeciętnej inteligencji.

Oto przykład z życia codziennego: ktoś zamierzający spędzić przyjemnie wakacje pragnie się udać do Egiptu, co nie jest trudne do osiągnięcia. Ale pozostaje mu obliczyć jak długie ma wakacje, czy starczy mu czasu na tę podróż, oraz czy jego środki pieniężne pozwalają mu to przedsięwziąć. I to jest trudna strona całego zagadnienia.

O ile mamy z jednej strony bezrobotnych, a z drugiej strony pewną pracę do wykonania, każdy widzi, że dobrze byłoby przy tej pracy bezrobotnych zatrudnić. Ale pokonać wszystkie przeszkody jakie się nasuną przy wykorzystaniu bezrobotnych właśnie w tym wypadku, nie jest rzeczą łatwą.

Niestety, w większości podręczników wiedzy wojskowej strona administracyjno-gospodarcza wojska jest zaniedbywana na korzyść taktyki i strategii. Na dziesięciu słuchaczy Szkoły Wojennej wszyscy będą dokładnie wiedzieć w jakich okolicznościach została wygrana bitwa pod Blenheim, ale jeden najwyżej będzie miał pojęcie o tym, jak wiele administracyjnych przygotowań wymagało jej wygranie. Wielu miesięcy planowania i administracyjnej pracy potrzeba było, nim Allenby[13] mógł dokonać swego manewru zakończonego trzecią bitwą pod Gaza[14].

Przypomnę raz jeszcze tak podziwiany manewr Marlborough'a, zdobycia w roku 1711 tak zw. linii *Nec plus ultra*. Dziecko nawet byłoby zdolne z łatwością pojąć ten manewr, ale żaden inny dowódca prócz Marlborough'a nie byłby w stanie go przeprowadzić. Ruch Roberts'a przed Paardeburg w 1900 roku, podczas wojny burskiej, Allenby'ego pod Gaza-Beersheb-a, były obydwa wariantami tej samej koncepcji Marlborough'a z 1711 roku. Wymagały one jednak niezwykle przemyślanego i dokładnego wykonania.

Pragnę usilnie podkreślić wagę tego "administracyjnego" czynnika, zaniedbanie go bowiem pociąga za sobą większość błędów licznych dowódców.

W konkluzji, zdajecie sobie, mam nadzieję, sprawę jak bardzo złożony jest problem nowoczesnego dowodzenia.

Dowódca musi dzisiaj umieć dowodzić lotnictwem, bronią pancerną, artylerią przeciwlotniczą, musi znać się na broni gazowej i chemicznej zarówno ofensywnej, jak defensywnej, na łączności, zwłaszcza w dziedzinie radia. Musi mieć pojęcie o sztuce maskowania, zagadnienie propagandy też nie może mu być obce. Winien śledzić postępy techniki nowoczesnej i inżynierii. To wszystko niezależnie od jego normalnego wojskowego wykształcenia.

W warunkach bojowych wszystko, rzecz prosta, wygląda inaczej, niż to dawniej bywało. Marlborough pod Blenheim ustawiwszy osobiście artylerię i objechawszy konno całą linię frontu, mógł zjeść spokojnie lunch na samym polu bitwy, w oczekiwaniu na swego kolegę, księcia Eugeniusza Sabaudzkiego[15], który miał zająć pozycję na jego prawym skrzydle, a znajdował się wraz ze swym wojskiem w odległości czterech mil, niemałej jak na ówczesne stosunki.

Napoleon pod Austerlitz mógł się na własne oczy przekonać, że nieprzyjaciel ułatwia mu swym ruchem planowane przeciwnatarcie i mógł na podstawie własnej obserwacji zadecydować o chwili jego rozpoczęcia.

Wellington pod Salamanką, podczas wyprawy napoleońskiej do Hiszpanii, widząc jak jego przeciwnik właśnie wykonuje fałszywy ruch, mógł się ograniczyć do wydania kilku ustnych rozkazów, poczem zwrócić się do stojącego opodal hiszpańskiego oficera sztabu: "Mój drogi Alava, Marmont[16] jest zgubiony."

Nawet pod Sedanem, 60 lat później, Moltke i jego monarcha, król Wilhelm I. pruski, mogli osobiście oglądać z pobliskiego pagórka klęskę armii francuskiej.

W warunkach wojny 1914-1918, nawet dowódca batalionu dysponując swą odwodową kompanią nie mógł mieć podobnie jasnego obrazu sytuacji, a Naczelny Wódz nie znajdował się wcale na polu walki, tylko siedział w swoim sztabie, daleko za frontem, lub przechadzał się po ogrodzie w swojej kwaterze, oczekując na wiadomości, które nigdy nie chciały nadejść lub gdy nadchodziły wreszcie, okazywały się fałszywe.

Tyle o przeszłości, spójrzmy jednak i w przyszłość. Trzeba nam będzie dowodzić nowymi środkami, zarówno na lądzie jak i w powietrzu, których potencjał jest w znacznym stopniu jeszcze niedostatecznie zbadany. Niektóre z nich były już używane podczas ostatniej wojny, zostały jednak znacznie ulepszone, inne rozwinęły się niedawno, inne są jeszcze ledwie w stadium prób.

Dowódca obdarzony wyobraźnią—geniuszem właściwie, który potrafi dostosować się do nowych metod walki i wykorzystać nowe środki, zasłuży na miano wielkiego dowódcy. Ale nie uzyska on tego miana ani łatwo, ani szybko. Należy sobie zdać sprawę z kwalifikacji, jakich od niego wymaga wojna nowoczesna.

Na lądzie dowodzić mu przyjdzie siłami, których szybkość poruszania się i zasięg działania przekraczają wielokrotnie możliwości najruchliwszej kawalerii w przeszłości. Musi on zatem głęboko przestudiować taktykę i strategię morską, podobnie zresztą, jak i strategię kawalerii. Pewne pojęcie co do zachowania się na polu walki i szybkości z jaką winien pobierać swe decyzje da mu opis bitwy morskiej pod Jutlandią[17], a nie opis walk pod Salisbury Plain lub Long Valley.

Czyż trzeba dodać, że będzie on musiał umieć równie dobrze dowodzić w powietrzu, jak i na lądzie?

Niełatwo będzie określić czy winien on być żołnierzem, który zna się gruntownie na lotnictwie, czy też lotnikiem, znającym cię równie gruntownie na taktyce lądowej. Dowodzenie jest kombinacją obu tych znajomości, przyszła wojna nie przyniesie bowiem definitywnego sukcesu żadnej z tych broni działającej z osobna.

A pamiętać należy, że ponadto musi nowoczesny dowódca posiadać solidny zdrowy rozsądek i znać duszę ludzką z jej wszystkimi przywarami. W ostatecznej bowiem mierze sztuka wojenna opiera się nie na maszynach, ale na ludziach.

O tym pomówimy na następnym wykładzie.

Archibald Wavell

przekład Jana Meysztowicza

* Wszystkie przypiski, stanowiące komentarz historyczny do odczytów gen. Wavella pochodzą od tłumacza.

1/ Wioska w Bawarii, gdzie miała miejsce klęska wojsk francuskich i bawarskich w 1704 podczas hiszpańskiej wojny sukcesyjnej. Bohaterem jej był Marlborough, dowodzący całością wojsk brytyjskich i austriackich /te ostatnie pod wodzą ks. Eugeniusza Sabaudzkiego/.

2/ John Churchill, Earl of Marlborough /1650-1722/ najsławniejszy wódz angielski, przeciwnik Ludwika XIV., odznaczył się głównie podczas hiszpańskiej wojny sukcesyjnej. Obecny premier Winston Churchill jest jego potomkiem.

3/ Marszałek Lefebvre, zdobywca Gdańska w 1807, dowodził korpusem złożonym częściowo z wojsk polskich, pod jego rozkazami byli między innymi gen. Dąbrowski; otrzymał tytuł *duc de Dantzig*.

4/ Marszałek Joffre, pierwszy naczelny wódz francuski w 1914, zwycięzca z nad Marny. Usunięty w 1916.

5/ Jeden z najwybitniejszych generałów angielskich w wieku XVIII, odznaczył się podczas wojny siedmioletniej, zdobywca Kanady przeciwko wojskom Ludwika XV. Wsławił się bitwą o Quebec, które zostało zdobyte, ale Wolfe poległ, prowadząc osobiście do szturmu.

6/ Sir Arthur Wellesley, otrzymał tytuł *duke of Wellington* po bitwie pod Talavera, w Hiszpanii w 1810, przezwany "*Iron Duke*" /żelazny książe/, po Marlborough największy wódz angielski. Odznaczył się pod Waterloo, aczkolwiek główną rolę w zadaniu klęski Napoleonowi odegrał pruski generał Blücher.

7/ Oliver Cromwell, szef i dowódca wojskowy rewolucji w XVII wieku, zakończonej wzięciem do niewoli króla Karola I. Stuarta, który został następnie ścięty na podstawie wątpliwej wartości wyroku Trybunału Stanu, w 1649 w Londynie. Cromwell z tytułem "lorda protektora" rządził aż do śmierci /1658/. Jest to jedyny w historii Anglii okres republikański. Wybitny organizator, wódz i polityk, szef stronnictwa tak zw. "purytanów."

8/ Henri de la Tour d'Auvergne, vicomte de Turenne, marszałek Francji, sławny wódz Ludwika XIV.

9/ Hr. von Moltke, naczelny wódz cesarza Wilhelma I. /aż do 1871 tylko króla pruskiego/, jedną bitwą pod Sadową w 1866 zakończył wojnę prusko-austriacką oraz w szeregu zwycięstw rozgromił armię francuską podczas wojny 1870-71. Należy go odróżnić od tak zw. von Moltke'go młodszego, naczelnego wodza niemieckiego w 1914, który przegrawszy bitwę nad Marną został zastąpiony przez gen. Falkenhein'a, po którym z kolei objął aż do końca dowództwo Hindenburg.

10/ Sir John Moore, generał angielski, współpracownik Wellington'a, zmarł w 1809 podczas kampanii hiszpańskiej.

11/ Robert Craufurd, ulubiony podkomendny Wellingtona, generał dywizji, wsławił się w Hiszpanii, poległ tamże w 1812.

12/ sławny wypadek, za który Anglicy zapłacili utratą wyspy Majorki podczas wojny siedmioletniej 1756-63, na rzecz Francuzów.

13/ Edmund Allenby, feld-marszałek brytyjski, vice-hrabia, najpopularniejszy dowódca kawalerii, wsławił się zdobyciem na Turkach Palestyny, Mezopotamii /obecnie Irak/ i Syrii w 1917-1918. Poprzednik i mistrz generała Wavell'a, który służył pod jego rozkazami. Zajmował on stanowisko podobne do tego, które do niedawna zajmował Wavell, był odpowiedzialny za obronę Kanału Sueskiego. Udało mu się odeprzeć ofensywę turecką Enver-paszy skierowaną na kanał, lądem z Palestyny i Syrii.

14/ Miasto na pograniczu Palestyny, będące kluczową pozycją, dwukrotnie bez powodzenia zdobywane przez Anglików podczas Wielkiej Wojny, za trzecim razem wzięte przez Allenby'ego, w 1917. Pociągnęło to za sobą upadek Jerozolimy.

15/ Najsławniejszy wódz Habsburgów na przełomie XVII i XVIII wieku, dokończył dzieła Sobieskiego pod Zentą, dał się we znaki Ludwikowi XIV, który w swoim czasie nie zgodził się powierzyć mu dowództwa pułku w armii francuskiej, motywując to istotnie niezbyt pociągającym wyglądem zewnętrznym ks. Eugeniusza.

16/ Marmont, marszałek napoleoński, *duc de Raguse*, jeden z ulubionych przez cesarza, był jego adiutantem w Egipcie, zdolny ale ambitny i o słabym charakterze, przeszedł ze swoim korpusem na stronę koalicji w 1814, przypieczętowując los Napoleona, który zaraz potem zmuszony był abdykować w Fontainebleau.

17/ Największa bitwa morska wielkiej wony. Ze strony brytyjskiej dowodził admirał Jellicoe i Beatty, ze strony niemieckiej admirał von Scherr i Hipper. Flota niemiecka została zmuszona do odwrotu, straty jednak brytyjskie były wyższe, niż niemieckie.

Wojna na morzu

WYŁOM W PRAWIE O NEUTRALNOŚCI

Nareszcie! Senat Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej 49 głosami przeciw 38 (jeszcze jednak!) uchwalił rewizję prawa o neutralności w sensie zezwalającym statkom handlowym amerykańskim zawijać do portów stron walczących i żeglować po wodach stref wojennych. Jednocześnie pułkownik Knox ogłosił, że Admiralicja U.S.A. przygotowuje odpowiednie środki ochronne dla bezpieczeństwa statków amerykańskich, które będą odbywały te podróże.

Należy wyjaśnić, że do tej pory statki amerykańskie nie docierały n.p. do Archangielska, a cała pomoc amerykańska płynęła na statkach pod banderą brytyjską, flot sprzymierzonych lub w "najryzykowniejszym wypadku" pod banderą republiki Panama. Jeśli natomiast statek amerykański wiózł materiał dla Wielkiej Brytanii lub Rosji, ładunek jego musiał być przeładowywany przeważnie na Islandii. Jak bardzo opóźniało to transporty i jak bardzo, a niepotrzebnie obciążało dodatkowo i tak przeciążoną brytyjską flotę handlową nie potrzeba chyba pisać.

To pierwsze prawne wycofanie się, Stanów Zjednoczonych z "neutralności" musi być jeszcze jednak zatwierdzone przez Kongres, do którego, z trudem uzyskana, poprawka jeszcze wróci. Przyjaciele prezydenta Roosevelta zaręczają, że do uchwalenia nowego prawa prezydent posiada w Kongresie 60 procent większości.

KEHI MARU

"Najbardziej stanowczy protest" został złożony przez japońskie Min. Spraw. Zagr. na ręce sowieckiego ambasadora w Tokio Smetanina w sprawie japońskiego parowca "Kehi Maru" (4,522 tonn), który zatonął na skutek wybuchu rosyjskiej miny pływającej pomiędzy Seishin na Korei i Tsuruga w Japonii. Na "Kehi Maru" było 430 pasażerów, z których 17 utonęło. Port Seishin jest oddalony tylko 150 mil morskich od Władywostoku. Cała prasa japońska w gwałtowny sposób napada Sowiety, jako jedynie odpowiedzialne "za śmierć tylu niewinnych ludzi." Jednocześnie fakt ten wyzyskiwany jest przez propagandę japońską jako "jeszcze jeden dowód złej woli przeciwników państw osi"...

A w Waszyngtonie dotąd przebywa specjalny wysłannik japoński p. Kuruzu, były ambasador w Berlinie. Nie jest znany ani cel wizyty pana Kuruzu, ani nie są znane wyniki przeprowadzanych przez niego rozmów. Prasa amerykańska zachowuje daleko idącą rezerwę, a jednocześnie prezydent Roosevelt oświadczył na specjalnej konferencji prasowej, że Stany Zjednoczone wycofują oddziały piechoty morskiej z miast chińskich, okupowanych przez Japończyków: Peiping, Tiensin i Szanghaj. (Oddziały piechoty morskiej — *marines* — U.S.A., stacjonowały w tych miastach, jako ochrona amerykańskich placówek konsularnych jeszcze od czasów wojny bokserskiej t.j.od r. 1900.)

Fakt ten, jak również fakt, sygnalizowany poprzednio przez "Polskę Walczącą," zaniechania drogi morskiej "pomocy dla Rosji" przez Władywostok mógłby wskazywać albo na przewidywania mającej lada dzień wybuchnąć burzy na Pacyfiku albo na ... ustępstwa dla Japończyków w toczących się nieustannie rokowaniach amerykańsko-japońskich, którym towarzyszą różne gesty na morzu. To też przygoda z "Kehi Maru" jest jednym z fragmentów tej wzajemnej gry.

Na wszelki wypadek baza morska i lądowa w Singapore została ostatnio znowu bardzo wydatnie wzmocniona przez Brytyjczyków. Jak doniosły gazety londyńskie, do Singapore w pierwszych dniach listopada zawinął "największy konwój w historii Oceanu Indyjskiego, wiozący wojska, tanki, samoloty i ogromną ilość materiału wojennego."

ADMIRAŁ AMERYKAŃSKI KRYTYKUJE

Bardzo surową krytykę braku dostatecznego współdziałania lotnictwa brytyjskiego z marynarką wojenną napisał w amerykańskim "*Colliers Magazine*" kontr-admirał U.S.A. Harry Yarnell. Tę krytykę działalności R.A.F. przedrukowały w streszczeniu prawie wszystkie gazety angielskie.

"*Nic nie jest w możności—pisze admirał Yarnell—pomniejszyć wspaniałego bohaterstwa i sprawności pilotów R.A.F. w robocie, której dokonali w obronie Londynu. Praca R.A.F. ocaliła wyspy brytyjskie od zniszczenia. Ale jeśli ta praca nie jest tak skuteczna wszędzie wynika to, moim zdaniem, z największej omyłki jaką popełnili Brytyjczycy. Omyłką tą jest to, że R.A.F. jest jednostką niezależną, oddzielną.*"

Admirał Yarnell dowodzi dalej, że lotnictwo Stanów Zjednoczonych, korzystając z doświadczeń R.A.F., powinno być kombinowane z armią i flotą jako siły powietrzne współdziałające z wojskiem na lądzie i z marynarką wojenną na morzu.

"48 *godzin przed inwazją Norwegii przez Niemców—pisze admirał—samoloty zwiadowcze R.A.F. widziały na Morzu Północnym niemieckie statki transportowe, płynące na Północ. Ponieważ przywiązywali do tego faktu mało znaczenia, tylko raporty, idące "drogą służbową," dotarły do Admiralicji zbyt późno i okręty Wielkiej Brytanii zareagowały w chwili, gdy inwazja była już w pełnym toku.*

Jeśli by piloci byli wyszkoleni w sprawach morskich ("widzieli na sposób morski") zrozumieliby natychmiast wagę tego, co zobaczyli i Anglia dowiedziałaby się o dwa dni wcześniej o podejrzanych ruchach niemieckich. Może wówczas byłby jeszcze czas przeszkodzić niemieckiej inwazji w Norwegii."

Również bardzo surowo ocenia admirał Yarnell rolę R.A.F. w bitwie o Kretę, twierdząc, że brytyjscy piloci nie byli w możności ochronić okrętów, które mieli eskortować do Aleksandrii.

"*Po tym straszliwie nieudolnym współdziałaniu—pisze on—3/4 brytyjskich okrętów było uszkodzonych, a niektóre zatonęły. Rozgoryczenie i rozdrażnienie pośród ewakuowanych żołnierzy było tak wielkie, że personelowi R.A.F. zabroniono przechodzić przez te ulice, gdzie się wyładowywało wojsko, uratowane z Krety.*"

W dalszym ciągu admirał amerykański stwierdza, że niejednokrotnie samoloty R.A.F., patrolujące wybrzeże Anglii, zaobserwowały i sygnalizowały niemieckie okręty podwodne, ale nie atakowały ich, uważając, że jest to obowiązkiem marynarki.

"*Jednego razu*—pisze admirał—*brytyjska Admiralicja dostała depeszę od jednego z dowódców okrętów podwodnych, który się skarżył, że zawinął by już do portu . . . gdyby nasze samoloty przestały nas atakować.*"

"The Daily Telegraph," który przytacza całą tę ciekawą krytykę admirała Yarnella, dodaje następującą uwagę:

"*Krytyka nieobecności samolotów R.A.F. w bitwie o Kretę zbiega się z podobnymi krytykami bitwy pod Dunkierką, w której piloci R.A.F. oddali ogromne i niezastąpione usługi, pomimo, że ich działalność nie była widziana przez żołnierzy, uczestniczących w ewakuacji.*" . . . *Admirał Yarnell znany jest w Stanach Zjednoczonych, jako gwałtowny przeciwnik samodzielności lotnictwa i opinia jego w kołach lotniczych U.S.A. uważana jest za dość stronną, choć nie można jej odmówić dużej dozy słuszności.*"

KONWÓJ VICHY

"Współpraca" rządu Vichy z Niemcami raz jeszcze wyszła na wierzch w sposób jaskrawy i nieprzyjemny. Okręty brytyjskie zatrzymały przy brzegach Afryki Południowej francuski konwój, składający się z 5, załadowanych po brzegi, statków, konwojowanych przez francuski patrolowiec. Okręcik ten odmówił zatrzymania się i zrewidowania statków francuskich. Wobec czego statki te zostały zajęte przez marynarzy brytyjskich abordażem. Na statkach oprócz 9,000 tonn cukru, 5,000 tonn kawy i 2,000 tonn ryżu, wiezionych prawdopodobnie do okupowanej Francji, a więc wiadomo dla kogo, było jeszcze około 1,000 Niemców z Francuskiej Legii Cudzoziemskiej, wiezionych do Vaterlandu na "walkę przeciw bolszewizmowi" na skutek umowy Vichy ze "współpracownikami."

SEBASTOPOL

Tymczasem na wschodzie zbliża się chwila, gdy całe północne wybrzeże Czarnego Morza znajdzie się w rękach Niemców, którzy atakują Rostów już bezpośrednio, a na Krymie podeszli do fortyfikacji Sebastopola. Czy bolszewicy zdołają obronić tę ważną i jedyną już na Morzu Czarnym bazę morską? A jeśli nie zdołają, to co się stanie z ich flotą czarnomorską i . . . jakie stanowisko zajmie Turcja? . . . Gdyby bowiem Niemcy zdołali opanować nie tylko wybrzeże Rosji Południowej, ale zawładnąć Morzem Czarnym, północna granica Turcji zostaje odsłonięta i nie będzie tu już tylko chodziło o obronę cieśniny Bosforu, czy Dardanelli stosunkowo łatwych do obrony przez nieznaczną przestrzeń terenu lecz o zabezpieczenie całego północnego wybrzeża Małej Azji.

Prawdopodobnie więc utrzymanie, czy zdobycie Sebastopola zadecyduje, czy Turcja pozostanie "neutralna," czy też wybierze jedno z dwuch rozwiązań: wystąpienie za, albo . . . przeciw. Gdyby przymierze brytyjsko-tureckie okazało się dość silne, ocalałaby i . . . flota sowiecka Morza Czarnego, ocalałaby i przewaga Sprzymierzonych na Morzu Czarnym, pomimo utraty Sebastopola. Zdaje się, że w tym błędnym kole mieści się całe zagadnienie "bezpieczeństwa" tureckiego.

Londyn, 8 listopada 1941 r.

Bohdan Pawłowicz

Dom Marynarza

W ostatnich dniach otwarto w Leith, porcie Edynburga, Dom Marynarza pod nazwą "*The Seven Seas Club*". Mieści on się w Leith, przy Morton Street Nr. 17 /tel. 37722/. Klub ten przewidziany jest zasadniczo dla załóg statków marynarki handlowej państw sprzymierzonych i neutralnych, jednak marynarze wojennych jednostek morskich Polski, Holandii, Norwegii i Wolnej Francji, zawijających do portu—będą tam zawsze bardzo mile widziani.

W Domu tym organizatorzy przygotowali wszystko, aby dzielnym marynarzom umilić pobyt w porcie. Bar, ozdobiony freskami o barwnych motywach ludowych, jak również starymi przysłowiami wszystkich zaprzyjaźnionych narodów, zaopatrzony jest w piwo, wino, herbatę, kawę, zakąski i tp.

Dom prowadzony jest przez Panie z *W.V.S.*/Ochotnicza Służba Kobiet Bry./, które usługują w klubie, jak również udzielają wszelkiego rodzaju informacji odnośnie zwiedzania miasta, rozrywek, wycieczek, zakupów, etc. Panie te znają doskonale języki obce i każdy może się z nimi rozmówić w swym ojczystym języku.

W klubie mieści się również obszerna czytelnia, zasobna w dużą kolekcję książek w jezyku angielskim, francuskim, polskim, holenderskim, norweskim, duńskim, etc., jak również w pisma codzienne i periodyki. Dla miłośników muzyki jest do dyspozycji pianino, gramofon, radio etc.—Sala do gier posiada bilardy, ping-pong, szachy i tp.

Zą 4 d. można mieć gorącą kapiel /prysznic, mydło, ręcznik/, opłata za nocleg /pokoje a 3-4 łóżkach/, śniadanie i kąpiel wynosi 3 sh.

W razie zakotwiczenia statków w porcie—przewiduje się urządzanie, koncertów, pokazów filmowych, czy innych wieczorów towarzyskich, na których marynarze będą mogli zapoznać, względnie spotkać przyjaciół i rodaków z Edynburga i okolicy.

Wszelkiego rodzaju bliższych informacji udziela na miejscu gospodarz klubu Mr. H. Larsen,—jak również dwaj honorowi sekretarze: Mrs. Vere Hodge, W.V.S., A.J.B., 45, Princes Street, Edinburgh. Mr. Harvey Wood, 57, Melville Street, Edinburgh.

Bez black-outu

To ładnie, to nawet bardzo ładnie, że tak pilnie, że z taką pasją podpatrujemy Anglików i Szkotów. Ile doświadczeń wyciągamy z tej obserwacji, aż krew zalewa . . . serce z radości. Wyrobiliśmy sobie nawet niezawodną metodę w tej sprawie, można rzec darwinowską, lub woronowską, jak kto woli. Przerabiamy się na "English fashion." Po prostu fasonujemy się na angielsko w tempie . . . amerykańskim. To znaczy z szybkością debat nad ustawą o neutralności, czyli powoli, ale systematycznie. Robimy postępy.

Dzisiaj w autobusie, czy w pociągu nie ustąpimy już miejsca żadnej damie, żeby takowa tłukła się od ławki do ławki, bo "English fashion" tego nie przewiduje, więc my starzy Brytyjczycy z Kulikowa, ze Świdra i Koluszek siedzimy jak murowani. Trudno, mamy, to we krwi. Tradycja wielka rzecz!

A jacy jesteśmy już punktualni! Sławoj oszalałby z radości. Krzyże sypały by się na biurka. Dzisiaj już o godzinie 12.45 w południe żebyś umierał osobiście na progu pierwszej lepszej kancelarii wojskowej czy cywilnej nie uświadczysz żywej istoty, bo jak mawia mój przyjaciel, goniec brygadowy, — "Sorry—pora l y n c z u." Należy dodać, że goniec ów nie sieje nienawiści społecznych świadomie, tylko po prostu na swój sposób przejął się angielskim fasonem i wstydzi się mówić "obiad," skoro nawet sam telefonista z centrali mówi "śniadanie," a wszyscy od kaprala w górę "lancz."

Wczoraj widziałem na własne oczy, jak pan plutonowy Gderałkowski adresował list do własnej żony, bawiącej w Anglii: "Mrs. Gderałkowski" broń Boże "a," koniecznie "i." English fashion. Poczciwy saper Jasio Kapusta dostaje listy od swego kolegi bombardiera Krupki: Mr. John Kapusta Esq. Niby, że Jaśko jest z tych starych kawalerów anglosaskich i niechybnie pogniewałby się na Krupkę, gdyby ten nie dodał wymownego "Esq." Całe szczęście, że Krupka nie adresuje jeszcze "Mr. Cabage."

Robimy postępy, szkoda gadać. Umiemy już palić bez chwili wahania papierosy, fajki, cygara w kinie, w teatrze, na koncertach chóralnych i orkiestralnych. U nas tego nie robiono. To źle, bardzo źle. Policyjne państwo. Wszystko było zakazane, a tutaj, żeby sopranistka nawet zwijała się w kaszlu na scenie w kłębach tytoniowego dymu nic to—English fashion. Palą oni, możemy za nimi, już nawet niektórzy z naszych gwiżdżą w teatrze na dwóch palcach jak najstarsi Szkoci.

Nałykać się trzeba kultury póki trwa okazja. Uczymy się pilnie i umiemy już bardzo wiele np. potrafimy w dwóch palcach jednej ręki nosić trzcinki (nie wszyscy), ale też to trzeba mistrzostwa nie lada. Te krótkie laseczki angielskie mają tyle wdzięku. Niby nic takiego—kawałek drzewa dętego w bambus, a ile siły nabiera marsowa postać. Fason—szkoda gadać. Poznaj pana po cholewach. Anachronizm. Teraz po trzcince.

Wśród tylu nowości obcych, niezrozumiałych, a tak łatwo przyswajanych odkryłem z wielkim wzruszeniem przed kilkoma dniami coś prawdziwie naszego, coś naprawdę polskiego. Wierzcie lub nie wierzcie panowie: w i d z i a ł e m o s t r o g i. Tak, tak. Nasze sarmackie, rumackie, kossakowskie—prawdziwe ostrogi przy butach z cholewami, ostre jak brzytwa, dźwięczące. . . . Płakałem jak bóbr. Znam kilka ustronnych miejsc, gdzie można je jeszcze zobaczyć. I to nie tak byle jak, ale na żywym modelu. Mogę poprowadzić ciekawych, mogę zorganizować wycieczki młodzieżowe. Niech widzą, niech słyszą. Patrzcie, patrzcie młodzi, może to ostatni, co w ostrogach chodzi.

Anglicy tego, oczywiście, nie rozumieją, Szkoci uśmiechają się pobłażliwie, naturalnie nie wiedzą, co to "old Polish fashion." W ogóle ci Brytyjczycy dziwni ludzie.

Pytali się mnie Szkoci, poco jeden z naszych znajomych nosi rumuński order z ostatniej wojny, skoro ma trzy rzędy innych wstążeczek i ledwie to mieści. Całe szczęście, że nie widzieli do tej pory mego znajomka ze Lwowa niejakiego Jóźka Ciągaja /drugi pomocnik trzeciego kucharza w kompanii zbornej/, który "przy niedzieli" nosi do dzisiejszego dnia "somewhere in Scotland" najoryginalniejszy medal z Marią Teresą i orłem monarchii austriackiej z drugiej strony. Zresztą wolno Haile Selassiemu zamawiać talary w Anglii z Marią Teresą dla abisyńskiego ludu—wolno Ciągajowi. Ale tylko Ciągajowi. Brytyjczycy mają inny "fashion" w sprawie noszenia odznaczeń, może i to warto by naśladować?

Angielski fason, kultura, cywilizacja wyspiarska nie oszczędzają nikogo, czepiają się uniformu i cywilnego ubrania. W takim np. Londynie między cywilami, nie poznasz Polaka wśród Anglików, żebyś nawet na głowie stanął pod samym Strattonem. A zatem uwaga: jeżeli zobaczysz pana w "Edenowskim" kapeluszu, z parasolem zwiniętym w prawej ręce i ze szkiełkiem w oku lewym—to nie będzie prawdziwy Anglik, lecz właśnie ów Polonus w tempie amerykańskim na angielski fason przerobiony. Jeżeli tenże gentleman nie poda ci ręki na powitanie /moda angielska/ to też nie bierz go za Brytyjczyka. To jest po prostu pan w "Edenowskim" kapeluszu, któremu daleki andrus warszawski nie może, niestety, wygarnąć tak szczerze, od serca:

—"Szanowny dziedzicu w parasol szarpany, w szkiełko oprawiony, nie odgrywaj anglikańca wobec rodaków na obcej ziemi, boś z Wierzbowej i na Wierzbową powrócisz. Wyjmij szkiełko, bo jej nie poznasz, odstaw parasol, bo ciężka praca przed tobą . . . Bez fasonu, szanowny dziedzicu."

Andrus warszawski daleko. A szkoda.

Bądźmy jednak sprawiedliwi, nie we wszystkim ślepo naśladujemy Anglików. Mamy w pewnych sprawach swoją niewzruszoną postawę, swoje stanowcze zdanie. Niech wiedzą, że my . . . naród twardy, niech się liczą. Np. jeżeli idzie o taką whisky. Oni z wodą, tylko z wodą. My nie. Czysta. Large. Bez wody. Dość wody w dyskusjach, w biurach, w papierach. Precz z wodą. Więc kropimy czystą whisky, tak żeby rozum się zamknął, żeby język się rozwiązał, żeby się nam po dziesięciu większych zdawało, że to wycieczka Orbisowa do Londynu pod hasłem: "W dwa lata dokoła Europy"—a nie jakaś wojna. Pijmy bez wody i zatańczmy! . . . Czekajcie, a może to "podróż w nieznane"? W nieznane posady, w nieznane chody, w nieznane dochody, w nieznane fachy i w nieznane fochy . . . Zatańczmy! Jeszcze jedna większa! Butelka whisky jeden funt. Cóż? To zaledwie 2 paczki po 10 shilingów przez Czerwony Krzyż. Zaledwie.

Anglicy twierdzą, że Polacy wykazują specjalny talent do golfa, naśladują niezwykle szybko. Nic dziwnego, przecież to takie bliskie naturze Polaka: kopanie dołków, obchodzenie dołków i skoncentrowanie myśli wyłącznie na własnej, szczęśliwej kulce . . . Więc gramy w golfa. English fashion.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że przechodzi przez naszą emigrację niebezpieczny kulturalny "blitz." Pod jego obuchem padają jak przesądy i anachronizmy nasze tradycje i obyczaje. W górę trzcinki! W górę Edenowskie kapelusze! Niech żyje szkiełko w oku! Różowe, panowie, koniecznie różowe.

Aha, wracając do Londynu . . . Uwaga: jeżeli spotkasz, drogi rodaku, człowieka w prostej krótkiej kurtce, z wielką, grubą lagą w ręce /nie z parasolem/ człowieka w czapce granatowej szoferskiej lub marynarskiej bez orderów i bez monokla, człowieka, który poda ci rękę i uśmiechnie się do ciebie—to będzie zaledwie . . . premier Wielkiej Brytanii. Po prostu—Mr. Churchill.

Wiktor Budzyński

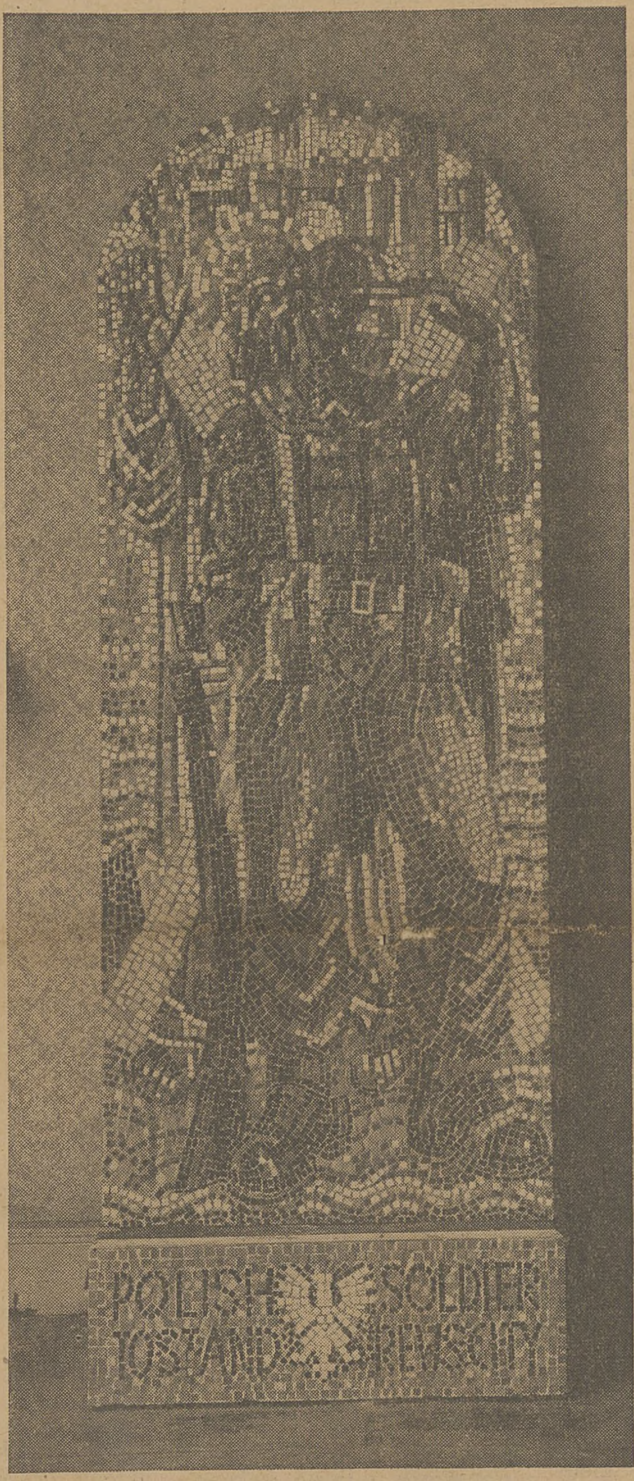
M. I. KOLIN
(Publishers) LTD.
zawiadamia, że dnia 5-go listopada r.b. otworzył własn księgarnie
w BLACKPOOL przy 40 Lytham Road

Z życia obozów

"Św. Andrzej z terakoty"

Historia niniejsza nie zawiera życiorysu świętego Andrzeja z Terakoty — taki bowiem święty nie istnieje—lecz przejścia kilku "żołnierzy dobrej woli" na tle malowniczych, dekoracyjnych murów pewnego szkockiego miasteczka. Gwoli ścisłości należało by zaznaczyć, że owe perypetie nie są ani zbyt sensacyjne, ani też nie dotyczą wyłącznie owych kilku gentlemanów z napisami "Poland" na ramionach, stanowią one tylko jedno z ogniw przyjaźni polsko-szkockiej, tak wspaniale rozwijającej się na terenie naszej brygady.

"Jędrzejów"—bo taka jest obecnie spolszczona nazwa miasta St. Andrews—zaprzyjaźnił się szybko z polskimi żołnierzami. Malownicze to, pełne tradycji miejsce, przylepione ruinami dawnej świetności do brzegu morza. Studenci chodzą tu w czerwonych togach i szerokich czarnych biretach. Z każdej nieomal uliczki patrzy na przechodnia dawność. Starożytne mury kolegium przygarnęły niedawno również polskich żołnierzy, którym wypadki wojenne nie pozwoliły dokończyć studiów uniwersyteckich. Rektor uniwersytetu jest jak najgorętszym rzecznikiem idei zbliżenia między obu narodami, tak samo władze miejskie.



Polacy już nieraz myśleli o tym, jak odwdzięczyć się za tyle różnych dowodów przyjaźni i jakby równocześnie pozostawić trwały ślad po sobie. Zwłaszcza zaś żołnierze z baonu "Bogaczy" w najserdeczniejszych pozostający stosunkach z obywatelami miasta.

Po wręczeniu swojego czasu plastycznych map St. Andrews—powstały liczne projekty na temat pozostawienia trwałej pamiątki. Z początku istniał zamiar wykonania płaskorzeźby z lipowego drzewa, przedstawiającej postać żołnierza z karabinem na placówce nad morzem, w tle miasta St. Andrews. Projekt ten potknął się jednak z miejsca o trudności w wydostaniu odpowiedniego materiału do pracy.

Okazało się, że w ogóle nie ma lipy na terenie Wielkiej Brytanii. Wtedy inna myśl przyszła do głowy niestrudzonym projektodawcom: dowiedzieli się, że w Edynburgu istnieje na wielką skalę zorganizowany zakład betoniarsko - rzeźbiarski. Być może, że uda się zrobić rzeźbę w betonie. Kilku żołnierzy z profesji, raczej studenci niż rzeźbiarze, wyruszyło do Edynburga. Tu oddajemy głos kronikarzow Baonu "Bogaczy":

"*Stosując przysłowie: 'Szukajcie a znajdziecie' żołnierze ci udali się do Akademii Sztuk Pięknych, gdzie prosili dyrektora i sekretarza o pomoc w wypożyczeniu narzędzi do pracy i o wskazówki artystyczne. Myszkując po wszystkich kątach gmachu Akademii natrafili w jednej z suteryn pośród rupieci na jakieś woreczki. Po bliższym poznaniu się z tymi woreczkami—okazało się, że zawierają one bezcenny materiał w postaci różnokolorowej terakoty włoskiej do wykonania mozaiki.*"

W ten sposób ostatecznie przyjęty został plan wykonania mozaiki, no i oczywista, teraz dopiero jasny się staje tytuł: "Św. Andrzej z terakoty," a nie Terakoty.

Według dalszych słów kronikarza—przygody mozaikowe przedstawiają się wręcz romantycznie: "*Zgodnie z przysłowiem 'szukaj kobiety,' żołnierze dowiedzieli się o istnieniu sekretarki Akademii, która miała wpływ na profesora, którego pieczy z kolei powierzona została terakota.*" — Kronikarz pisze dalej, że: "*Nasi żołnierze przy pomocy wspomnianej sekretarki zaatakowali profesora. Atak udał się.*"—Tylko za każdy funt terakoty trzeba było płacić ok.10 szylingów.

W kronikach baonu "Bogaczy" opisane są nawet dzieje owej terakoty. Przed kilkunastu laty sprowadzono ją do Anglii wraz z włoskimi majstrami do budowy kościoła. Po ukończeniu budowy pozostało jeszcze sporo materiału, którym zaopiekował się właśnie ów profesor.



Ławnik miejski odczytuje akt erekcyjny

Wykonanie mozaiki było rzeczą niełatwą, jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt, że tego rodzaju praca była pierwszą w życiu naszych domorosłych artystów oraz ze względu na brak odpowiednich narzędzi do pracy.

Po zdobyciu materiału, żołnierze-artyści opracowali plan mozaiki, po czym zamknęli się w pracowni. Praca trwała dwa miesiące.

Mozaika przedstawia żołnierza polskiego, na placówce na wybrzeżu morskim. Na drugim planie jest widoczna sylwetka patrona miasta św. Andrzeja i zabytki miasta, które nosi jego imię. Postać żołnierza jest naturalnej wielkości. U dołu tablicy widnieje napis: "Polscy żołnierze—miastu Saint Andrews."

Technika wykonania tego rodzaju mozaiki przedstawia się następująco: na grubym papierze sporządza się rysunek całej mozaiki, poczym układa się zgodnie z jego konturami odpowiednio dobrane kolorowe kamyczki i wszystko zalewa się cienką warstwą cementu, wreszcie na wszystko kładzie się siatkę drucianą. Tego rodzaju "przekładaniec" artystyczny powtarza się parokrotnie aż do osiągnięcia grubości ok.10 centymetrów. Pozostaje jeszcze "oprawienie" całości w żelbeton.

Zdaniem profesorów Akademii Sztuk Pięknych w Edynburgu—mozaika wykonana przez polskich żołnierzy posiada duże walory artystyczne.

Dziś, wmurowana we frontową ścianę jednego z domów miejskich w St. Andrews zdobi miasto, a w przyszłości przypominać będzie stale o więzach przyjaźni między obu narodami.

Jan Lachowicz



Burmistrz miasta przejmuje mozaikę

Żołnierze — studenci

Sale wykładowe uniwersytetów w St. Andrews i Dundee zaroiły się od mundurów polskich. Po "inwazji" na Szkocję nastąpiła inwazja na wyższe uczelnie. Przeszło setka żołnierzy uzyskała—dzięki przyjacielskiej inicjatywie przewodniczącego "*St. Andrews University Regional Committee for Adult Education*" prof. Wrighta i dzięki zrozumieniu ważności sprawy przez władze wojskowe — możność rozpoczęcia, dalszego prowadzenia lub nawet ukończenia studiów, przerwanych wskutek wybuchu wojny. Oczywiście nie można było "odkomenderować" na Uniwersytet kilkuset kandydatów. Setka szczęśliwców studiuje dzisiaj na obu uniwersytetach prawo, ekonomię, nauki polityczne, humanistykę, technikę, chemię, matematykę, historię, filologię.



Grupa studentów Polaków na dziedzińcu uniwersytetu w St. Andrews.

Nie wiadomo, jak długo będą mogły trwać te studia, gdyż jest to ściśle związane z potrzebami wojska. Z tym większą więc energią nasi studenci zabrali się do pracy a profesorzy chwalą ich pilność, inteligencję i szybką orientację. Każdą wolną chwilę po wykładach studenci-żołnierze poświęcają pracy w bibliotekach a władze uniwersyteckie udzielają im wszelkiej pomocy. Czasami w bibliotece widzi się zaledwie kilku studentów szkockich a kilkudziesięciu Polaków. Świadczy to o poważnym ustosunkowaniu się polskich żołnierzy do studiów a doceniają to w całej pełni profesorzy, dopuszczając polskich słuchaczy i do tych źródeł naukowych, które normalnie są dostępne tylko dla profesorów.

Tak więc po Edynburgu, gdzie tak pięknie rozwija się polski wydział medyczny, "zdobyli" Polacy jeszcze dwie wyższe uczelnie szkockie.

W. Br.

Na góralską nutę

OJCYZNA

Tako tu jesień, jak u nos Zaduski;
Niebo cięgiem płace dyscu strugami,
A wiater jęcy, kieby ten głos ludzki
I łazi jak dusa szkockimi wrzosami.

Góry obtargane, jako dziad w łoktusy
Dziurawą mgłą kryją ze wstydu ciało,
Ni mają, jak nase w sobie pokusy,
Nikt ino owca chodzi po nich śmiało.

Nie dziw sie Hanuś moi tęsknocie,
Zem sie miłował w nasy, polski słocie
A w tej haw dlo sie nic znaleźć nie moge.

Bo zebyś przesed świat, ka nojsyrsy jes
Łaząc, Hanuś, w tęsknicy—dopiro wis,
Ino kajś sie ulągł jest sercu drogie.

TO NIE NASE

Patrze haw z grani
Ku nasemu słońku
Przez dysc, co pyrsi
Cięgiem bez przestonku,
I casem mi sie widzi
Ze Giewont sie wstydzi,
We mgle szkocki sie chowo.
Pod mgłą gęstą głęboko
Kieby Morskie Oko
Cosik do mnie septo i godo . . .
A choć z ptokami se gwarze
I znom sie na holnym sumie
Tej wody nic nie rozumiem.

Hej bo nie Giewont i Morskie
Widze w te dysce szkockie
I nie to z cem by dusa gwarzyć
była rada.
. . . .

Ale kiedyś w jesieni
Kiej sie wszystko odmieni
I Bóg nasyk grani pozwoli,
Bede go prosił z cały moi dusy,
By mi u wos zostać na zawse
zezwolił.

Józef Wieszczek

Przegląd polityczny

Pogląd jakoby strategia i taktyka stosowana w obecnej wojnie, była "jednym szeregiem najbardziej nieprzewidzianych wydarzeń"—jest z gruntu fałszywy. Rozwój i przebieg akcji bojowej w wojnie nowoczesnej został przewidziany niemal z matematyczną dokładnością w Anglii przez Fullera, we Francji przez de Gaulle'a, a w Polsce przez Sikorskiego. Byli więc ludzie, którzy wiedzieli, ku jakim próbom sił wiedzie świat postęp techniki, przynoszący zupełnie nowe elementy w dziedzinie strategii.

Wojna w Polsce była straszną, krawawą przestrogą dla sztabów państw zachodnich. "*Kampania wrześniowa*—pisze w swoim memoriale de Gaulle—*powinna była wywołać rewolucję pojęć w Naczelnym Dowództwie francuskim.*" Nie wywołała nawet dłuższej dyskusji: trzymano się wygodnej doktryny o "wojnie obronnej", nie widząc lub nie chcąc widzieć prawd, które stawały się już jasne dla polskich umysłów. W styczniu 1940 roku, w obecności Naczelnego Wodza, ówczesny szef sztabu, pułk. Kędzior, zaklinał Gamelina i Daladiera, aby wyciągnęli wszystkie wnioski z naszych doświadczeń. "*Linia Maginota*"—twierdził—"*jest niebezpiecznym złudzeniem. Niemcy nie będą się krwawili na naprawdę niezdobytych umocnieniach betonowych. Natomiast z pewnością będą próbowali obejścia, ataku skrzydłowego, podjętego albo z północy, przez Holandię i Belgię albo przez Szwajcarię. Konieczność dostosowanie się do tych warunków, jakie ten atak wytworzy—jest już dzisiaj nakazem chwili.*" Odpowiadano komplementami—stosując po dawnemu starą doktrynę wojny światowej. Wiemy, z jakim skutkiem.

Winą dowódców armii i szefów rządów było nie tylko skostnienie w zarozumiałości i zrutynizowanym sposobie myślenia. *Było również kompletne niezdawanie sobie sprawy z zagadnień nowoczesnej wojny.* Do dziś dnia tułają się jeszcze w rozmaitych umysłach stare poglądy o "konieczności oddzielenia strategii od polityki", a "całkowitej odrębności dowództw i rządów" i t.d. Tymczasem prawdą, którą należy wbić sobie w głowę na równi z najbardziej podstawowym regulaminem—jest fakt, *że wojna, taktyka i strategia nowoczesna, jest zbieżnością trzech czynników: elementu wojskowego, politycznego i psychologicznego.* Bez dokładnej znajomości tych czynników nie ma mowy już tylko o dowodzeniu, *ale wprost o elementarnym orientowaniu się w przebiegu wydarzeń.* Błędy, pochodzące z braku wykształcenia czyto politycznego czyto z powodu nieznajomości ogólnych zasad psychologii zarówno tłumu jak i jednostek—prowadzą do kompletnego chaosu myślowego, do niesłychanie szkodliwej dowolności w ocenie wydarzeń, do fantazjowania na tematy wojskowo-polityczne, sprowadzając każdą dyskusję o sytuacji obecnej do rzędu najbardziej dowolnych wypracowań o podróżach międzyplanetarnych.

Dziedziną, będącą klasycznym przykładem takiej, w naszych warunkach już nawet groźnej, ignorancji wojskowo-politycznej jest wojna rosyjsko-niemiecka. Była ona najzupełniej pewna od chwili upadku Francji. Z chwilą, kiedy zagrzmiały armaty—przepowiednie dotyczące czasu trwania i przebiegu kampanii były wprost zdumiewająco naiwne. Tak samo ocena sytuacji, którą raz uważano za "nadspodziewanie korzystną dla Rosjan"—a potym, w chwili rozpoczęcia ofensywy październikowej—za całkowicie beznadziejną, kryzysową, katastrofalną. Rzadko kiedy prasa, naszej bynajmniej nie wyłączając, nagromadziła w równie krótkim okresie czasu równą ilość artykułów i komentarzy, stwierdzających ogromnie poważne braki nie tylko w podstawowych wiadomościach wojskowych, ale również, co jest znacznie niebezpieczniejsze, w ocenie stosunków politycznych i społecznych w Rosji. Zimne, bezstronne, jak najbardziej logicznie umotywowane i pozbawione przewagi pierwiastka uczuciowego sympatji czy antypatji myślenie—jest koniecznym warunkiem orientacji w przebiegu wydarzeń na froncie rosyjskim. Rozwój ich związany jest najściślej z losem całej wojny i zarozumiały dyletantyzm w ocenie wypadków jest co najmniej niewskazany.

Wojna rosyjsko-niemiecka jest dalszym ciągiem procesu politycznego, który zaczął się z chwilą nadspodziewanie szybkiego upadku Francji. Stalin zdawał sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa i grał na zwłokę z dwóch powodów:

1) Spodziewał się ataku Niemiec na Wyspy Brytyjskie i przypuszczał, zresztą słusznie, że atak ten wojny rosyjsko-niemieckiej nie zażegna, ale ją odwlecze, bardzo osłabiając Hitlera. Stąd polityka ciągłych ustępstw wobec Trzeciej Rzeszy—w Europie Środkowej, na Bałkanach, w Iraku, w Turcji, na Dalekim Wschodzie, przy jednoczesnym zwiększaniu rosyjskiego potencjału wojennego.

2) Na Kremlu zdawano sobie dobrze sprawę z faktu, że armia rosyjska jest pod względem technicznym gorzej wyposażona od armii niemieckiej, że jest słabsza, jeżeli chodzi o organizację i motoryzację, ale posiada zato czynniki, dzięki którym ma szanse oporu, to znaczy przewagę materiału ludzkiego i przewagę przestrzeni. Trzeba więc było przygotować plan rozgrupowania rezerw w głąb, co wymagało czasu. *Kampania dyplomatyczna, która zaczęła się w dniu kapitulacji Francji toczyła się więc o przygotowanie przestrzeni oporu i o czas.*

Te same czynniki grają decydującą rolę od dnia 22 czerwca 1941 roku. Dlatego zaraz w pierwszym "Przeglądzie politycznym" po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej, pisaliśmy, że kampania będzie długa i ciężka. Dlatego też ustawicznie zwracamy uwagę na niewłaściwość poddawania się sugestii komunikatów "terenowych", wiadomości o zajęciu tego czy innego miasta lub takich czy innych "postępach ataku." *W wojnie tej chodzi nie o setki kilometrów zdobytego obszaru jak w Polsce lub we Francji, ale o zniszczenie armii przeciwnika, o szybkie zakończenie wojny.* Pod tym a nie innym kątem widzenia należy oceniać bieg wypadków na froncie rosyjskim.

Tak zresztą określił swe wojskowe cele wojny na Wschodzie Hitler i w tym kierunku urabiała społeczeństwo propaganda niemiecka. Dlatego też ostatnie chwyty Goebelsa, owe mowy radiowe o setkach tysięcy jeńców i tysiącach kilometrów kwadratowych zajętej przestrzeni są poważnym wydarzeniem wewnętrzno-politycznym w Trzeciej Rzeszy. Są potwierdzeniem faktu, że nadzieje Hitlera na zniszczenie armii rosyjskiej w wojnie błyskawicznej nie spełniły się, a co za tym idzie,—podobnie jak mowa Hitlera po nieudanym "Blitzkriegu" lotniczym we wrześniu 1940—są pośrednim stwierdzeniem klęski. Nie zdołają jej przysłonić hymny o "sukcesach". Jeżeli w czasie akcji, trzeba mówić nie o przyszłości ale ratować się powoływaniem na przeszłość, jest to znak, iż zaczyna dziać się źle i co raz gorzej.

Propaganda Goebbelsa jest zaprzeczeniem bardzo doniosłego aktu, a mianowicie rozkazu Hitlera z dnia 2 października 1941. Jest to rozkaz bardzo logiczny, bardzo charakterystyczny i niezwykle wprost aktualny. Jego najbardziej znamienną cechą jest kilkakrotnie powtórzony przymiotnik "ostatni".

"*Wzywam was do ostatniego wysiłku* . . . *Jest to już ostatnia walka. . . Jest to ostatnia ofensywa na wschodzie*" . . . *Wojna na wschodzie musi być skończona przed zimą*" . . .



Służba pomocnicza
rys. Marian Walentynowicz

Rozkazy Hitlera do armii, są—jak zresztą zawsze rozkazy najwyższego zwierzchnika sił zbrojnych—nieliczne. Stąd ich znaczenie i doniosłość. Hitler, dobry psycholog, zdawał sobie sprawę z wagi słów "ostatni wysiłek". *Ten wysiłek musiał być ostatni. Ta kampania musiała być wygrana przed zimą.* Führer wiedział o tym—i stąd owo ryzyko zapowiedzi w rozkazie ogłoszonym armii i całemu społeczeństwu. Wtedy decydowały naprawdę tygodnie. Dzisiaj wszelkie przesłanki wskazują na to, że decyzja losu zapadła, ale nie jest ona korzystna dla Trzeciej Rzeszy.

Prasa niemiecka ratuje sytuację, rozpisując się bardzo szeroko o "straszliwie niskim poziomie życia w Rosji," o "braku wszystkiego," o "niesłychanych zaniedbaniach organizacyjnych." Metodę tych pocieszań zmieni z pewnością Goebbels w najbliższym czasie, albowiem jest ona bardzo niebezpieczna. Jeżeli bowiem w Rosji organizacja życia gospodarczego naprawdę przedstawiała się tak fatalnie, jeżeli naprawdę poziom wymagań mieszkańca Sowietów był "najniższy na świecie"—*to jakżesz, ciężkie zadanie czeka intendenturę niemiecką w Rosji, w świeżo zdobytych terenach, gdzie przed wojną były bardzo skąpe zapasy materiałowe a w czasie wojny zostały i te resztki najzupełniej zniszczone przez cofające się wojska rosyjskie?*

"We Francji—pisze niemiecki korespondent wojenny—szliśmy przez jeden wielki ogród warzywny. Tu idziemy przez pustynię."

Tak jest—ale wnioski stąd płynące, są bardzo dla dowództwa niemieckiego przykre. W Polsce i w Belgii, Holandii i Francji brano teren, *z całym jego ogromnie bogatym zapasem materiałów.* W Rosji zajmuje się tysiące kilometrów *z wyludnioną ludnością i kompletnym brakiem najelementarniejszych przedmiotów codziennego użytku.* Z Ukrainy i Białej Rusi nie tylko nie można niczego wywieść, ale przeciwnie, trzeba przywozić wszystko, od zapałek począwszy a na zeszytach skończywszy.

"*Ludność zajętych przez nas obszarów*—pisze z emfazą prasa niemiecka"—*skazał Stalin na śmierć głodową! W całej, tak żyznej Ukrainie, ani jednego pługa, ani jednego traktoru, ani jednego magazynu żywnościowego!*" Możliwe, ale jakież wobec tego potwornie trudne zadanie stoi przed dowództwem etapów armii niemieckiej! Tych 300 blisko dywizyj, rozciągniętych od Morza Białego aż po Krym! Z chwilą, kiedy "Blitzkrieg" nie udał się, czynnik zdobytej przestrzeni zaczyna grać nie, jak we Francji na korzyść, ale przeciwnie, na niekorzyść Hitlera.

Dzisiaj niemiecki front pod Leningradem i Moskwą nie tylko skrzepł, ale zaczyna się cofać. Walki pod Leningradem były pierwszą klęską armii niemieckiej. Walki pod Moskwą, prowadzone z niesłychaną zaciętością są drugim, bardzo ciężkim i doniosłym w skutkach niepowodzeniem, zarówno pod względem strategicznym, jak i psychologicznym, moralnym. Nie wierzyliśmy w żaden kryzys, w żadne załamanie się społeczeństwa rosyjskiego po czterech miesiącach walki. Ale zajęcie Moskwy w pierwszych dniach ofenzywy, byłoby pewnym ciosem dla opinii rosyjskiej. Dzisiaj, po fiasku olbrzymiego ataku *minęłoby bez większego wrażenia.* Duch i chęć oporu nie tylko nie osłabły, ale przeciwnie, po nieudanym ataku na Moskwę, wzmocniły się ogromnie.

Wojna toczy się w tej chwili o czas. Pięć miesięcy kampanii w Rosji bez rozstrzygnięcia, jest klęską Hitlera poniesioną w walce z czasem. Klęską tak wielką, że nie zdoła jej wyrównać nawet osiągnięcie na wiosnę 1942 tych celów w Rosji, jakie Hitler wyznaczył sobie w lecie 1941.

Hitler, szukając za wszelką cenę rozstrzygnięcia, rzuca się na Krym, podejmując gigantyczną ofensywę na południu. Sukcesy na tym odcinku mogą być efektowne, *ale realne będą dopiero wtedy, jeżeli poważnie zagrożony zostanie Kaukaz, to znaczy, jeżeli ta południowa ofensywa będzie miała prawdziwe cechy "wojny błyskawicznej."* W tej chwili na to się nie zanosi. Co więcej. Przez to, tak ogromne rozciągnięcie frontu, Niemcy wytworzyli niekorzystną dla siebie sytuację, polegającą na bardzo ścisłej łączności między położeniem na północnym, środkowym i południowym odcinku. Innymi słowy: nie można atakować linii dolnej Wołgi—stojąc w miejscu lub nawet cofając się pod Moskwą. A akcja, zarówno na północy jak i w centrum, jest z każdym dniem co raz to trudniejsza.

Położenie Hitlera jest o tyle cięższe, że każdy dzień walki na froncie wschodnim umacnia front zachodni, który, wbrew temu, co mówił Stalin, *nie tylko istnieje, ale już dzisiaj daje się Niemcom poważnie we znaki.* Ostatni nalot brytyjski na Rzeszę był dla tej ostatniej o wiele gorszy w skutkach, aniżeli dla Francji czteroletnie bombardowanie i całkowite zniszczenie Reims! Jeden nocny nalot! Ze zmianą metod nowoczesnej strategii zmienia się również pojęcie frontu i bardzo mylą się ci wszyscy, którzy narzekają, że "na zachodzie nic się nie dzieje." Dzieje się więcej, aniżeli rok temu przypuszczali najwięksi optymiści.

tk

POLSKI KUŚNIERZ
J. LANGER
Dawniej atelier w Katowicach
Wykonuje futra NOWE i przeróbki wszelkiego rodzaju. Specjalne udogodnienia dla prowincji.
59, Knightsbridge, S.W.1. Phone: SLOane 3626

CLIFTON HOTEL
47a, Welbeck Street, W.1
Telefon: WELbeck 6881.
Pokój ze śniadaniem i kąpielą od £2.2.0 tygodniowo albo od 7/6 dziennie
Punkt zborny dla Polaków z prowincji

SPIS RZECZY.

RĘCZNIE ROBIONE BUTY POLOWE
U
TRICKER'S
GOLF • WALKING • RIDING • SHOOTING
67 Jermyn Street. Piccadilly. London S.W.1. — 4 Old Jewry. Cheapside. London E.C.2.
SPECJALISTA DLA OBUWIA WOJSK LĄDOWYCH, LOTNICTWA I MARYNARKI
Obuwie dla każdej okazji na składzie.
Wysyłamy katalog darmo formy dla podania miary.



Vaněk czeski
krawiec damski i kuśnierz.
Przerabia futra tak — że wyglądają jak nowe.
Płaszcze i kostjumy, pierwszorzędny krój.
4, William Street, Knightsbridge, oddział także w Bournemouth.

POULSEN SKONE & Co. Ltd.
Wytwórnia obuwia dla Lotnictwa, Wojsk Lądowych i Marynarki. Ręcznie szyte i na miarę.
12, Duke St., St. James's, London, S.W.1

POLSKI KRAWIEC
wykonuje ubrania cywilne i mundury wojskowe oraz damskie kostiumy po cenach umiarkowanych. Poprawki i przeróbki. Specjalista w cerowaniu bez śladu wypalonych dziur i rozdarcia materiału.
M. FOX, 31a, Buckingham Palace Road, S.W.1. Wejście obok Hotelu Rubens.
Tel.: VICtoria 8241.

Najlepszy pod każdym względem
eliksir
NUFIX
/wymawiaj NIUFIKS/
dla zdrowia i idealnej pielęgnacji włosów



zwalcza ŁUPIEŻ I WYPADANIE WŁOSÓW
poręczny, wygodny i bezpieczny w noszeniu
WE FLAKONACH PO 7½. 1'3. 1'9
W TUBKACH PO 7½. 1'3
łącznie z opłatą taksy
DO NABYCIA WSZĘDZIE TAKŻE W KANTYNACH
NUFIX JEST NAJBARDZIEJ EKONOMICZNY W UŻYCIU
WALDEN & CO (NUFIX) LTD., THE HYDE, LONDON, N.W.9.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices), The Carlton Berry Co., 136, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2. Tel.: ABBEY 5108.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.